Nr. 50. Poznań, niedziela 15-go grudnia 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **W Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. H. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen

Treść:

W sprawie „Banku ziemskiego“.

Jeden z korespondentów naszych, fachowy ekonomista i prawnik z zawodu, wykazał w poprzednim numerze z wielkim zasobem ścisłej logiki i trzeźwej argumentacyi, że hasła, któremi prasa poznańska reklamuje nową emisyę „Banku ziemskiego“, grzeszą często przesadą, a plan pewnego projektowicza, by fundusz Kościuszkowski obrócić na zakupno akcyi, sprzeciwia się intencyi składkujących i z względów formalnych napotyka poważne trudności. Godząc się w zasadzie na zarzuty korespondenta naszego, poczuwamy się jednak — dla uniknięcia fałszywych komentarzy — do obowiązku nadmienić tu wyraźnie, że samą instytucyę Banku ziemskiego uważamy w stosunkach naszych za siłę o znaczeniu pierwszorzędnem w kierunku narodowym, społecznym i ekonomicznym. Znakomity artykuł *dr. Witolda Skarżyńskiego,* zamieszczony w „Dzienniku Poznańskim“ (Nr. 277) określił z uznania godną trzeźwością doniosłość działalności bankowej na różnych stopniach życia naszego i przyczyny wyraźnej nieufności, prześladującej rozwój tej instytucyi od samych początków istnienia. Zwracając uwagę na powyższą pracą, podyktowaną przez jeden z najszerszych i najgłębszych umysłów zaboru pruskiego, pragniemy raz jeszcze, śladem korespondanta naszego, zanotować, że reklamy dzienników poznańskich, zalecające akcye Banku ziemskiego jako pewną lokacyę kapitałów i rozpatrujące kwestyę ze stanowiska indywidualnej spekulacyi finasowej, piętnem widocznej przesady swojej budzą nieufność i sprawie publicznej raczej szkodę, niż korzyść przynieść tylko mogą. Fałszywe blaski na bok! Akcye Banku ziemskiego w obecnej formie, wobec braku kursu giełdowego i niepewności zysków bankowych, nie stanowią bynajmniej idealnej, a choćby tylko względnie korzystnej lokacyi kapitałów. Są one bądź co bądź uwięzieniem sum deponowanych i z tego powodu czynnika ofiarności z kwestyi nowej emisyi wykluczyć niepodobna. Po rozstrzygnięciu tej wątpliwości i obniżeniu reklam dziennikarskich do właściwej miary należałoby zatem postawić pytanie, czy ofiarność w tym wypadku jest aktem racyonalnym i postulatem prawdziwie obywatelskim. Że w naszych warunkach odpowiedź na takie zagadnienie może być tylko twierdzącą, o tem świadczy wymownie wyżej wzmiankowana praca dr. Witolda Skarżyńskiego i świeższej daty kompilacya dr. Tadeusza Szułdrzyńskiego. Odsyłając czytelników naszych do obu tych autorów, oszczędzamy sobie trudu rekapitulowania tych wszystkich motywów, które z jednej strony podnoszą Bank ziemski do pierwszorzędnego znaczenia w walce o byt narodowy, z drugiej strony, nie tając egzystencyi stron ciemnych i błędów, oddają kierownictwu wotum zaufania, oparte na cyfrach statystycznych i zaszczytnem uznaniu obcych ekonomistów. Z naszej strony pragniemy tylko z całym naciskiem zwrócić uwagę na spotęgowaną doniosłość banku w tej właśnie chwili, gdy minująca robota Hakatystów powołała do życia drugą edycyę komisyi kolonizacyjnej, drugą instytucyę finansową, połykającą majątki polskie i przetrawiającą zdobycz swoją w formie patentowanych parceli niemieckich. Zresztą inteligencya zszeregowana koło pisma naszego wita w Banku ziemskim nową sprężynę tych przeobrażeń demokratycznych, które z nieubłaganą konsekwencyą dokonują się w społeczeństwie poznańskiem. Panowanie wielkiej posiadłości ziemskiej chyli się ku schyłkowi i czas najwyższy, aby na odmiennym fundamencie oprzeć własność agrarną i w miejsce ustępującego stanu ziemian wielomorgowych wprowadzić polskich rolników drobnowłasnościowych. Im prędzej, im wszechstronniej ten proces parcelacyjny się spełni, tem korzystniej dla społeczeństwa polskiego, a skoro rząd niemiecki i związek Hansemanów usiłują spaczyć w narodowym kierunku naturalny rozwój ekonomicznej metamorfozy, więc czas najwyższy, aby dążeniom germanizacyjnym przeciwstawić wał ochronny z polską chorągwią. Ten z natury Banku ziemskiego wypływający prąd demokratyczny nadwyrężył popularność jego w kołach wielkich właścicieli ziemskich, bo sfery te zrazu przypisywały mu misyę ratunkową dla zagrożonych latifundyów, a później, gdy zrozumiały społeczno-ekonomiczne rezultaty działalności bankowej, nie mogły się pogodzić z myślą wielkiego przewrotu, któremu instytucya parcelacyjna drogę torowała. My jednak, którzy przeobrażenie agrarne uważamy za konieczny postulat stosunków europejskich i nadto w przeobrażeniu tem nie upatrujemy jakiegoś „malum necessarium“ lecz wręcz szeroką i zdrową podstawę nowego życia narodowego, właśnie w demokratycznej misyi Banku ziemskiego znajdujemy energiczną pobudkę do otoczenia tej instytucyi czynną i ofiarną opieką.

Jeżeli atoli uznajemy w całej pełni doniosłość zadań parcelacyjnych, którym służy Bank ziemski, to z drugiej strony w imię tej samej zasady pragnęlibyśmy po całym kraju rozgałęzić instytucye ku równym celom zwrócone, a podnosimy to z szczególnym naciskiem z tego powodu, by założyć protest przeciw jawnym i ukrytym dążeniom, ześrodkowania całej akcyi drobnowłasnościowej w banku poznańskim. Ten kierunek dośrodkowy przejawia się nietylko w ekonomiczaym działaniu naszem, lecz panoszy się we wszystkich dziedzinach życia społecznego, choć nie wszędzie poszczycić się może dodatniemi rezultatami, a sprawie parcelacyi, zdaniem naszem, poniekąd ujemne oddaje usługi. Liczba parcelujących przedsiębiorców, mianowicie żydowskiej narodowości, mnoży się dzisiaj z dniem każdym w przeróżnych punktach zaboru pruskiego, a spełniają oni ze względu na większą znajomość stosunków lokalnych łatwiej zwykle i korzystniej zadanie swoje niż centralne biuro metropolii poznańskiej. To też niechęć objawiającą się tu i owdzie przeciw zakładaniu spółek parcelacyjnych w różnych stronach prowincyi naszej uważamy za niesłuszną i z radością witamy centryfugalne siły, wprowadzające w miejsce parcelujących Cohnów i Müllerów energicznych przedsiębiorców polskich. Bank ziemski takiej tendencyi żadną miarą paraliżować nie powinien, lecz przeciwnie działalności jego tem doniośle]szemi szczycić się będzie rezultatami, jeżeli kapitałem swoim i doświadczeniem wspierać zacznie szczerze i energicznie bratnie instytucye. Odegrać rolę „uczciwego maklera“ wobec innych towarzystw parcelacyjnych o narodowym kierunku, — ułatwić spółkom pokrewnym nabywanie i rozdrabnianie ziemi, — budzić do życia prądy parcelacyjne i torować im drogę bez względu na zawisłość sił odśrodkowych w stosunku do głównej instytucyi poznańskiej, — oto hasło, które Bank ziemski powinien sobie przyswoić i w duchu jego pracować. W życiu naszem społeczno-narodowem przejawia się coraz częściej potępianie osobistej inicyatywy i sprowadzanie wszystkiego do jakichś centr

przywłaszczających sobie monopol sankcyonowania każdej akcyi publicznej i to staje się nieraz powodem zacieśnienia rozwoju i przyczyną żółwiego ruchu. A tymczasem cudze żywioły krążą po kraju i zjadają śmietanę, której Polak zebrać nie zdążył, lub zebrać się nie ośmielił. Więc zamiast potępiać te siły centryfugalne, którym okazujemy nieufność, a nawet niechęć widoczną, witajmy w nich ruch i życie. Im więcej ognisk czynu tem więcej ludzi przy nich się ogrzeje.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W obec krytyki prasy poznańskiej, zamieszczonej w „Przewodniku Katolickim“. i „Kuryerze Poznańskim“, — oraz wobec przeróżnych reklam dla jednych, gromów dla drugich czasopism, padających przy końcu kwartału z ambon kościelnych, zamieścił „Orędownik“ (nr. 283) obszerny artykuł p. t. „Sprawa niemało drażliwa“. Końcowy ustęp artykułu tego brzmi:

„Sytuacya układa się tak: na czele wydawnictw „Kuryera“ i „Przewodnika Katolickiego“ stoi jeden i ten sam kanonik poznańskiej kapituły. W pierwszem piśmie wzywają księży, żeby z ambon polecali „Przewodnika katolickiego“, także ze względu na inną prasę polską, i w tem samem piśmie orzekają, że prasa polska to — polityczna Sodoma i Gomora. Pozostańmy przy formalnej stronie. Przeciw komu ma być ambona w danym razie użyta? Ambona zwrócić się może łatwo, a kto wie czy się nie będzie musiała zwrócić przeciw wszystkim pismom samodzielnym, niezależnym. Przeciw jednym może więcej, przeciw drugim mniej, ale wszystkie samodzielne pisma mogą być pod jednę rubrykę podciągnięte. To będzie nieuniknione następstwo, bo tak się układa formalna strona tej drażliwej sprawy“.

* * *

P. Ant. Donimirski zamieścił w „Kraju“ petersburskim artykuł charakteruzyjący cyfrowo dotychczasową działalność Komisyi kolonizacyjnej i wyprowadzający uzasadnione wnioski, że stan finansowy tej Bismarkowskiej instytucyi jest arcyniepomyślnym a charakter jej zmienia się o tyle, że w ostatnich latach fundusz stumilionowy przedzierzgnął się poniekąd w kapitał ratunkowy dla niemieckiej własności ziemskiej. Końcowy ustęp ciekawej pracy p. Donimirskiego brzmi:

„Według tych rachunków, niewątpliwie nie przesadzimy, jeżeli stratę, jaką komisya ponosi na każdym hektarze rozkolonizowanej ziemi, obliczymy najmniej na 150 marek, tak, iż stratę na rozkolonizowanych lub wydzierżawionych dotychczas 28,755 hektarach śmiało przyjąć możemy na 4,313,250 marek; w rzeczywistości jest ona znacznie większa.

Czyż przynajmniej kolonistom wygodną za to zapewniono egzystencyę? Niebardzo o tem świadczą liczne stosunkowo zmiany własności. Na 1.606 wytworzonych dotychczas przez komisya kolonizacyjna w r. 1894 niemniej jak 25 zmieniło właścicieli, z tego tylko 5 pozostało w rodzinie, przechodząc na syna lub zięcia; niektóre kolonije już po kilkakrotnie zmieniły właścicieli.

Straty komisyi zwiększają się z roku na rok, w miarę wzrastania jej posiadłości. Według wykazów rachunkowych, komisya dotychczas gotówka z 100-milionowego funduszu wydała $64^1/_2$ mil. marek; zaś wróciło jej się tylko $5^1/_2$ mil. marek, tak, iż do końca roku 1894 umieszszonych miała około 59 mil. marek, a do dyspozycyi zatrzymała około 41 mil. m“.

* * *

W obec wieści podanej przez pisma niemieckie, że istnieje polski fundusz agitacyjny na Górnym Szlązku, takie wypowiadają zdanie „Nowiny Raciborskie“ w nr. 147:

„Gdyby na przeprowadzenie obrony wiary, języka, narodowości istniał na Górnym Szlązku osobny fundusz, byłoby to rzeczą bardzo pożądana i pożyteczną i dobrą, a nigdy nie byłoby to rzeczą złą, na tej samej podstawie, na jakiej Niemcom nie wydaje się rzeczą złą łączyć się w stowarzyszenia, zbierać składki, ustanawiać fundusze milionowe, wykupywać ziemię z rąk polskich itd. na obronę niemieckości w Poznańskiem, na Szlązku, w Prusach Zachodnich. Dla wszystkich obywateli jednego państwa istnieć winna równa miara i jednaki wymiar sprawiedliwości. Gdyby urojony fundusz, ustanowiony dla obrony polskości w państwie niemieckiem, był rzeczą naganną, nagannym również byłby fundusz na rozkrzewianie niemieckości: „Co tobie niemiło, tego drugiemu nie czyń“.

Ale czyż istnieje fundusz polski na przeprowadzenie obrony polskości na Górnym Szlązku? Chociażbyśmy się na wszystkie świętości zaklinali, że fundusz taki nie istnieje, przeciwnicy nie uwierzą. Nie widzą oni czy nie chcą widzieć, że społeczeństwo wielkopolskie jest tak znękane i ma tyle własnych potrzeb, iż nawet myśleć nie może o ustanowieniu funduszów na rzecz obcych prowincyi; szczęście, że ono jeszcze o sobie myśli. Przeciwnicy mimo to będą utrzymywać i wołać w niebogłosy, że fundusz istnieje, bo im z tem bardzo dogodnie: mają czem straszyć siebie samych i ludzi łatwowiernych. Tego wymagały też ostatnie wybory, więc słyszeliśmy, jak powtarzano zachrypłymi głosy: Fundusz wielkopolski został zasilony, jest obecnie bardzo obfity i t. d. A fundusz taki — powtarzamy — nie istnieje!“

W dalszym ciągu artykułu tego zbijają „Nowiny raciborskie“ inne zarzuty fabrykowane w kuźniach niemieckich przeciw stróżom praw narodowych na Górnym Szlązku. Z wywodów „Nowin“ podajemy ustęp następujący:

„Zdawałoby się, że zarzut uczyniony redaktorom polskim, iż piszą tylko dla zarabiania pieniędzy, czyli grzeczniej mówiąc, dla zaspokajania niezbędnych potrzeb życiowych, tak błahy, nędzny i bezrozumny, chyba u nikogo nie znajdzie wiary, — a jednak zarzut ten jest rozpowszechniony. Im mniej się go używa w pismach publicznych, nie pozbawionych jeszcze ostatniego odcienia wstydu, tem więcej powtarza się go prywatnie, ustnie wobec ludzi prostych nie zagłębiających się nad istotą prawdy i nie sprawdzających trafności potwarzy. Na zohydzenie ludzi uczciwie pracujących mówią nasi przeciwnicy do nas samych mniej więcej tak: Po co tu przyszli ci Poznańczycy? Wyciągnąć wam pieniądze z kabzy! Pokażcie im drzwi! Niestety, potwarz taka w wielu razach nie zawodzi, bo lud, jak już powiedziałem, nie ma możności lub nie zadaje sobie pracy, by się przekonać, że jest niesłuszna z gruntu. Gdyby ten lud był obyty w szermierce języka, odwróciłby miecz i zapytał: „Po co tu przyszli ludzie z nad Renu, z Westfalii, z Saksonii? Czyśmy ich wołali? Nie! A więc wyciągają nam pieniądze z kieszeni. A czy tylko z kieszeni? O nie, wydobywają je oni z naszej ziemi pod postacią kruszców, wapna, węgli, zboża, a wydobywają je naszemi rękami i naszym potem. Poznańczycy, przeciwnie, to nasi bracia rodzeni, krew z krwi naszej, kość z kości: podali nam rękę jak braciom, a my uchwyciliśmy tę rękę, bośmy czuli potrzebę podpory“.

* * *

Jak smutne rezultaty wydaje obecny system pedagogiczny w szkołach ludowych pruskiego zaboru, o tem prasa poznańska nieraz dziwne podaje szczegóły. Listy pisywane przez młode pokolenie, — nieszczęśliwą ofiarą pedagogii niemieckiej, — do rodziców, krewnych i znajomych kreślone są językiem tak dziwacznym, że nikt go zrozumieć nie może. Nie jest on ani polskim, ani niemieckim, lecz jakąś pokręconą mięszaniną, zrozumiałą chyba dla samego autora, — jakimś dziwolągiem rzucającym jaskrawe światło na wartość naszych szkół ludowych. Z całego tłumu takich dokumentów, podawanych bezustannie przez prasę

Ksiądz Piotr.

Szkic

przez **Kazimierza Tetmajera.**

(Rzecz, nagrodzona pierwszą nagrodą na konkursie literackim „Czasu“.)

(Ciąg dalszy).

Bez pana Dzięgielewskiego nie mógł się staruszek kilka godzin obejść. Ow zaś pan Dzięgielewski z drobnej zagonowej, żmudzkiej czy litewskiej szlachty, przywędrował jeszcze z ojcem nieboszczykiem Kacprem Dzięgielewskim, herbu Ozorya, z Litwy i znalazł był przytułek w kłonickim dworze. Zrazu pomagał dworskiemu pisarzowi w rachunkach, ale że do cyfr głowę miał nieosobliwą, a na flecie pięknie grywał, poświęcił się kunsztowi organistowskiemu i taką z miechów czułość wydobywać umiał, aż się pannie Krystynie Kolasikiewiczównie, pokojowej pani marszałkowej, mdło zrobiło podczas sumy i ostatecznie została panią organiścina, a razem ze stanu mieszczańskiego do godności szlacheckiej podniesioną.

Z panem Dzięgielewskim toczył ksiądz Piotr dysputy o wszystkiem, zacząwszy od owsa i polityki, kończąc na astronomii i motylicy. Droczył się z nim i trafiał w jego szaraczkową godność szlachecką, przekręcając mu Ozoryę na cykoryę, co się co najmniej od lat trzydziestu zawsze z jednakowym skutkiem powtarzało.

Pan Dzięgielewski nosił na codzień czarny halsztuk na szyi, długi tabaczkowy surdut, kamizelkę w centki i pasiaste spodnie, na niedzielę zaś i święta, imieniny papieża i księdza kanonika halsztuk z ciemnego granatu, nowy surdut tabaczkowy i nowe pasiaste spodnie. Miał pan Dzięgielewski czapkę z daszkiem, chustki do nosa czerwone z brązowemi kółkami, rogową tabakierę, trzcinę z posrebrzaną gałką i mosiężną pieczątkę z herbem.

Ksiądz Piotr lubił go bardzo.

Koło plebanii było jak w arce Noego. Oprócz zwykłych, domowych zwierząt, miał ksiądz Piotr mały zwierzyniec, w którym sarny, zające i osobliwsze zamorskie gęsi żyły w bezprzykładnej zgodzie. Dozór nad tą menażeryą, jak i nad ogrodem, miały sobie powierzony wszelakie baby i dziady, oraz kaleki i sieroty, jakie się w okolicy udało znaleźć. Ksiądz Piotr zbierał biedactwo, przygarniał, odchowywał i wychowywał. Potrzebując dla siebie niewiele, bo go głównie piękne buty i rewerendy, do czego miał zawsze słabość, kosztowały, a mając i z parafii i z kapitałów własnych znaczne dochody, całe legiony ubogich żywił i odziewał. „Mój sąsiad, — mawiał — ksiądz Wajdzik, kiedy kościół w Nowosiółku odnawiali, bronił malarzom po rusztowaniach chodzić, bo mógł który w okno wpaść, a szyby drogo kosztują; grosz do grosza zbija, psu na omastę nie da, żeby po jego śmierci chłopi blachą kościół pokryli i nową wystawili dzwonnicę; a ja mówię, że ja lepiej robię. Bo Pan Bóg o blachy na kościele nie dba, tylko o to, jakie się dusze w tym kościele modlą, a czy mu się dzwon wyżej czy też niżej lipy majda, to Mu także wszystko jedno, byle Mu serca ludzkie ku niebu dźwigał. U mnie by się też to i owo na kościele dało naprawić, ale mnie pierwsza sieroca gęba, niż dziura w gontach kościelnych“.

Miał ksiądz Piotr duży ogród cienisty w którym wiele drzew, dziś już wyrosłych, własną jeszcze ręką sadził. Na owocach znał się wybornie, hodował je na prezenta dla kolatora i sąsiadów, a kwiatów było u niego w bród. Kiedy się koło nich krzątał, zawsze z niemi rozmawiał. Jedne chwalił, drugie zrzędził, nad innemi się litował. Trzeba było słuchać. — „Uu, takeś to wybujał, narcyzku, ażoś się złamał, widzisz. Poczekajże to cię podeprę. Tak. Teraz ci się będzie lepiej rosło. Trzymajże się dobrze, tak. A ten słonecznik, łobuz, jak się rozpanoszył! Myślałby kto, że Bóg wie co! Jaki tulipan zamorski albo ananas! Ty zaś czego się tu spinasz, powoju jeden

poznańską, cytujemy z „Wielkopolanina“ list następujący, — list polskiego dziecka, kształconego w obecnej szkole ludowej:

„Bobelniz dmia 10 listopoti kochano Matko i ofcie (ojcze) Nuch (niech) bymdziu itd. — pizsi dwaigio lizsch Püwzyi PomoziRo PoPolsKai drugie Kohacnau Matcka Kochomi ojzioi m i Siwihzsi uma m n i fochizst PitaRihug Mimi i zsch żeb je Z Ji K Riwaimo ehckouram bo pwoże i od Pizejemi nah Riwenzi“.

List kończy się temi słowy:

„Mili zer dizmi zerdinne da boże amen.“

Konia z rzędem temu, kto te zagadki rozwiąże!

* * *

P. t. „Nowa instancya w sprawie emigracyjnej“ donosi „Kuryer lwowski“:

„Od kilku dni oblegani jesteśmy przez włościan udających się do Brazylii. Wszyscy oni oświadczają, że posprzedawali swe grunta i chałupy, ponabywali karty okrętowe, pozaopatrywali się w rozmaite dokumenta, wielu z nich jedzie wskutek wezwania znajomych lub krewnych osiadłych w Brazylii (np. cała partya z pow. żółkiewskiego udająca się do Rio Claro) — i wszyscy zgodnie oświadczają, że starostwa nie chcą im wydawać paszportów. Ulokowani na stacyach żandarmi odpychają emigrantów od kas kolejowych, nie pozwalają im kupować biletów ani wsiadać do wagonów; w ten sposób całe tłumy ludzi z kobietami i dziećmi całymi dniami przesiadują na mrozie obok stacyj kolejowych — o takim fakcie donoszą nam właśnie z Jeziernej.

Lecz co rzecz najbardziej zajmująca i charakterystyczna. Włościanie przybywający do Lwowa i chcący się w tej sprawie udać do namiestnictwa czy to do samego namiestnika na posłuchanie, czy to do którego z radzców namiestnictwa z prośbą o pomoc i poradę, spotykają przeszkodę żadnemi ustawami nieprzewidzianą i w żadnym kraju cywilizowanym, nie wyłączając i Rosyi, niepraktykowaną: oto portyer namiestnictwa zatrzymuje tych ludzi i zabrania im wstępu do gmachu namiestnictwa, ośmielając się sam od swej ugalonowanej osoby dawać im naukę i oświadczając kategorycznie, że tutaj nie mają czego szukać, a co do paszportów, to starostwa wiedzą co mają robić.

Podajemy ten fakt do wiadomości JE. ks. namiestnika, który zapewne nie wie o tem, w jaki sposób fagasy nadużywają powagi urzędu, który dotychczas szczycił się tem, że nie odpychano od jego progów nikogo, kto się tam zwracał z zaufaniem“.

* * *

Lwowskie „Czasopismo akademickie“ skarży się gorzko, że „Komitet obywatelski“ miasta Lwowa, złożony przeważnie z uczestników powstania 1863 r. odsunął młodzież akademicką od współdziałania w urządzaniu obchodów narodowych a mianowicie uroczystości listopadowej. Dotychczas Komitet Obywatelski i młodzież zgodnie w tym kierunku pracowała, w ostatnich czasach jednak korporacya uczestników styczniowej rewolucyi, przestraszona argumentami stronnictwa konserwatywnego, że nie należy zaprawiać młodych do „przedwczesnego politykowania“, odmówiła przedstawicielowi młodzieży prawa przemawiania na obchodach publicznych, a następnie przestała wogóle wzywać młodzieży do udziału w obradach komitetu. Końcowy ustęp artykułu „Czasopisma akademickiego“ brzmi:

„Młodzież podjęła wyzwanie, oswoiła się już z myślą swej zupełnej samoitności wobec Komitetu obywatelskiego i z samoistności tej potrafi zrobić najlepszy użytek, na jaki ją stać. Na razie bez wątpienia sympatye społeczeństwa staną po stronie przeciwnej, po stronie tych, którzy „szli na armaty wówczas, gdy myśmy prześcieradła gryźli“. Ale kiedyś, gdy uczestników powstania z r. 1863 będzie tyle, ile dziś jest uczestników powstania listopadowego, zmienią się może role. Wtedy społeczeństwo i opinia publiczna przestaną może wyrzucać dzisiejszej młodzieży, że nie szanuje starszych i łamie solidarność narodową, a zwrócą się do ostatnich przedstawicieli Komitetu obywatelskiego i zapytają ich przed trybunałem dziejów: Co uczyniliście z waszej strony, aby ideałów waszych nie zabrać ze sobą do grobu, ale zapewnić im nowych obrońców wtedy, gdy was nie stanie? Co uczyniliście z waszej strony, ażeby tę młodzież, której najzdolniejsze jednostki zabiera corocznie stronnictwo konserwatywne, najszlachetniejsze socyalizm, a najpracowitsze biurokracya, — ażeby tę młodzież skupić około sztandaru narodowego i zahartować ją przeciw pokusom karyery i argumentom doktrynerów?

Na to pytanie nie będzie chyba odpowiedzi“.

BADANIA NAUKOWE.

Złudzenia doktrynerów.

Dały się słyszeć w ostatnich czasach szczególnego rodzaju zdania, że cywilizacya dzisiejsza, w przeciwstawieniu do epoki barbarzyńskiej, jaka ją poprzedziła, jest pewnem zboczeniem patologicznem, że czasy barbarzyństwa lepsze były od dzisiejszych, że ludzkość stała wówczas wyżej społecznie niż dzisiaj itd. Dlaczego? Dlatego, że wszyscy byli wtedy wolni i równi, tak mężczyźni jak i kobiety, że własność była wspólną, że nie było nędzarzy, ani więzień, ani policyi, że, jednem słowem, było tak dobrze, jak nie mogło być lepiej. Gdy tymczasem podstawą cywilizacyi, wyłonionej z onego doskonałego ustroju, jest wyzysk jednej klasy przez drugą, a treścią jej — ustawiczne walki klasowe. Egoizm, chciwość, grabież cudzego mienia, gwałt, zdrada, morderstwo — oto cechy dzisiejszego ustroju, cywilizacyi dzisiejszej. Dodajmy do tego jeszcze, że kobieta w ustroju tym jest niewolnicą mężczyzny, własnością męża i że prostytucya i cudzołóstwo są zjawiskami koniecznemi. Cywilizacya zatem w porównaniu z barbarzyństwem jest degradacyą ewolucyjną w życiu społecznem.[1])

Dlaczego jednak ludzkość wyrwała się z owej formy społecznej, w której było jej tak dobrze i rzuciła się w objęcia wręcz przeciwnego ustroju, dla czego mężczyzna, drugorzędne zajmujący stanowisko w ustroju rodowym, wyłamał się z pod przewagi kobiety i upoddanił ją z kolei sobie? Dla tego oczywiście, że zmieniły się warunki ekonomiczne ówczesnych społeczeństw, determinujące wspólność rodową mienia, że wzrosły siły wytwórcze i rozszerzyły ograniczone gospodarstwo pierwotne. Za ciasno było rozwijającym się grupom społecznym w granicach rodu, ród nie mógł objąć wszystkich sił wytwórczych, jakie w nich wyrosły, musiał się więc rozpaść, jak rozpada się każda forma, gdy zawartej w niej treści przestaje odpowiadać, gdy do ostatecznego swego dochodzi rozwoju.

Stopień wytwórczości organizmu warunkuje formę jego zewnętrzną tak w świecie biologicznym, jak i społecznym. W ustroju społecznym stopień ten zależy od rozwoju umysłowości, od wzrostu stosunków człowieka z naturą. Wszystkie wielkie wynalazki: sposób otrzymywania ognia, łuk, garncarstwo, siew zboża, topienie rudy żelaznej, proch, busola, druk, soczewka, tkactwo, zastosowanie siły pary, elektryczności i t. d., przekształcająco wpływały na życie społe-

1) Fr. Engels. Der Ursprung der Familie des Privateigenthums und des Staates, Zürich 1884. — Przekład polski: Początki cywilizacyi, Paryż 1885.

Patrzcie! Będzie na płot lazł! Jak żeby żerdki nie miał! Owa! Jeszcze mi uczciwy groszek do czego złego namówisz. Spróbuj tylko! A te konwalijki, jakie śliczniutkie. Jak panienki! Tylko mi się tu nie pchajcie, astry. Ho! ho! Znam ja was. Nibym to nie był przy ułanach. Ho, ho!“

Czasem ksiądz Piotr, gdy się dobrze po objedzie wyspał, pod wpływem dawnych wspomnień nabierał rycerskiego animuszu, a że zdziecinniały już był przez lata podeszłe, ofiarą padał pan Dzięgielewski. Kiedy się zaniosło na zawieruchę w sześćdziesiątym trzecim, ksiądz Piotr, zakasawszy poły od sutanny, ze starą ułańską szablą w ręku, musztrował na dziedzińcu plebanii ochotników, między którymi był i pan Dzięgielewski, wówczas jeszcze pomocnik pisarza i kawaler. Otóż staruszek bywał od czasu do czasu ciekawy, czy organista nie zapomniał musztry.

„Bierz acan ten długi cybuch, nie ten, tamten, dłuższy — mawiał — a mnie proszę podać ten krótszy. Tak. Baczność! Marsz! W prawo zwrot! W lewo zwrot! Zachodź! Stój!

Organista spocony, zziajany, stawał wyciągnięty jak struna przed kanonikiem, a ten przyglądał się jego postawie, szturchając go lekko cybuchem w brodę i obciągając sieraczkową kamizelkę ku pasiastym spodniom.

Ćwiczenia te wojenne, choć dosyć rzadkie, irytowały mocno gospodynię księdza kanonika, pannę Katarzynę Capikównę, jako „i z powagą stanu kapłańskiego nielicujące i zdrowiu jegomości szkodzić mogące.“

Milczała jednak do czasu.

Ale raz nieszczęśliwie zdarzyło się, że księdzu Piotrowi, który słynął niegdyś jako rębacz i jedenaście pojedynków odbył, a tylko go raz pan Bogusław Chomialski lekko koło prawego ucha drasnął, za co sam miał twarz „rozjechaną“ od ucha po szyję, zachciało się spróbować, czy mu jeszcze „ręka chodzi“

— Panie Dzięgielewski, weźno dziś ten drugi, krótszy cybuch — rzekł — wstając z fotelu i zdejmując fajkę z cybucha, z którego ciągnął.

— Na co, że śmiem zapytać?

— Zobaczysz. Parujno kwartę.

— Jak ksiądz kanonik mówi?

— Broń aść brzucha z lewej strony.

Organista zdumiał się!

— Wszelki duch Pana Boga chwali, po prawdzie żeby powiedzieć! Wedle czego!!

— Nie pytaj się nic, tylko słuchaj! Na lewej nodze się oprzej. Lepiej, tak. Brzuch w tył. Ou, jaki to sztywny masz brzuch. Jakem był w twoim wieku, to jeszcze miałem jak panna Klocia Tymińska, com to jej onegdaj gruszek suszonych do Strzyżowic posłał... na siedmnaste urodziny. Podnieś głowę. Prawa wolna. Tupnij! Raz, dwa! Wypnij piersi. Ręka tak. Potem tak. Rozumiesz? Ja tak, ty tak! Raz, dwa! *Gardez vous!*

— Podług rozkazu, księże kanoniku!

— Teraz baczność! *En garde!* Łup!

Organista jęknął, a kwarta poszła tak dobrze, że ugodziła nietylko w brzuch pana Dzięgielewskiego, ale i w dwa wazoniki z fuksyami na oknie, które zleciały z wielkim hałasem.

„Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą
Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy“.

zadeklamował ksiądz Piotr, stając nad skorupami, ale wtem panna Katarzyna Capikówna wpadła do pokoju, czerwona, jak pomidor, gwałtowna, jak bomba.

— Jegomość! — krzyknęła.

— A co? — spytał skonfundowany nieco ksiądz Piotr, — nadrabiając miną.

Wstyd i obraza boska! Żeby to tak kto zobaczył! Ksiądz kanonik jak fircyk, z cybuchem po pokoju! A pan organista mógłby też mieć rozum. Ojciec dzieciom! I niby jakiś szlachcic! Jak się to jeszcze raz zdarzy, nie dam kawy, jak Boga mego kocham, nie dam kawy!

— Owa! Babska groźba, żabie deszcz! — ośmielił się mruknąć ksiądz Piotr.

— Babska nie babska! Jegomość mi też podlotek! — ofuknęła panna Katarzyna. — Może kamizeleczkę białą i żabocik! Patrzcie! — i zaperzona wypadła jak huragan z pokoju.

Ksiądz Piotr jednak był kontent.

czne, podnosiły bowiem jego wytwórczość. Tak samo było w ustroju rodowym. Przyswajając sobie stada zwierząt, zdobywając niewolników na wojnach, mężczyzna wytwarza własność indywidualną, skutkiem czego zjawiają się różnice majątkowe, wytwarzają się klasy z całym ich antagonizmem, powstaje władza państwowa. Rody, ich drobne organizmy społeczne, rozpadają się, ażeby wejść w skład większych organizmów, bardziej złożonych, bardziej różnorodnych. Rodzina, zależna zawsze od zmian zachodzących w ustroju społecznym, przechodzić musi z jednej formy w drugą, z matryarchalnej w patryarchalną, z rodowej w parzystą, z przewagą mężczyzny, mężczyzna bowiem jest panem w społeczeństwie nowem, państwowem. Gdzież tu jest ewolucyjna degradacyą?

Żadna forma życia społecznego nie jest ostateczną i być nią nie może; każda z nich jest dobrą w swoim czasie, najlepiej bowiem odpowiada wtedy obejmowanej przez siebie treści. Ustrój rodowy dobrym był, gdy wytwórczość społeczna była stosunkowo niewielką, złym — gdy wytwórczość wzrosła, gdy za ciasno jej było w jego granicach. Ustrój zatem po nim idący, ustrój klasowy ze swemi kolejnemi formami: niewolnictwa, poddaństwa i wolnego najmu, lepszym się okazał dla nowego stanu reczy, odpowiedniejszym dla wzrastającej szybko wytwórczości społecznej. Nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby zasady etyczne, na których się opierał ustrój rodowy, gorsze były od zasad etycznych dzisiejszego ustroju krajowego. Nie, przeciwnie nawet, lepiej ono może odpowiadają współczesnym naszym ideałom; ale zasady owe musiały ustąpić przed zasadami innemi, niezbędnemi się jednak okazały dla ugruntowania nowej organizacyi sił wytwórczych życia społecznego.

Stara legenda o wieku złotym ludzkości i o upadku jej późniejszym, odgrzebywana od czasu do czasu, nie przestaje być dla nas pomimo przemawiających za nią argumentów, legendą tylko. Ludzie, nie zadowoleni z teraźniejszości, idealizują zawsze przeszłość lub przyszłość, tj. czynią ją taką, jaka odpowiada najlepiej ich pragnieniom, jednym słowem, upiększają ją. Każdy ustrój tymczasem ma swoje strony dobre i złe; tak było, jest i będzie. Ustrój rodowy musiał więc mieć swoje złe strony, tak jak je ma dzisiejszy ustrój, jak je mieć będzie późniejszy ustrój społeczny.

Każda organizacya nosi w sobie przyczyny własnego swego rozwoju i rozkładu, każdy więc ustrój społeczny musi przechodzić przez rozmaite fazy rozwoju, do jakiego jest zdolny i wyłowić z siebie nowy ustrój, lepiej odpowiadający nowym warunkom bytu.

Od końca XVIII wieku, t. j. od czasu narodzenia się wielkiego przemysłu fabrycznego, siły wytwórcze i środki komunikacyi rozwinęły się w stopniu przedtem niebywałym. Przemysł bawełniany posiada sto milionów wrzecion przędzalnianych w Europie i Ameryce; 188,000 robotników wystarcza dla wprowadzenia w ruch tej masy narzędzi, gdy przed stu laty potrzebaby było sto milionów robotników dla otrzymania takiego samego rezultatu, innemi słowy, każdy pracownik wytwarza dzisiaj 5:0 razy więcej niż wtedy. W rolnictwie, gdzie maszyny wolniej wchodziły w użycie, pług parowy, którego koszt na godzinę i na siłę konia wynosi pięć centymów (2 kop.), wytwarza pracę równającą się pracy stu oraczy. Co się tyczy środków transportu, to dawniej przeciętna szybkość dyliżansów wynosiła 8 kilometrów na godzinę, statków żaglowych 6 kilometrów. Dzisiaj szybkość parowozów wynosi 80 kilometrów na godzinę, statków parowych 25 kilometrów. Gdy dawniej podróż z Berlina do Paryża trwała 60 do 70 dni, dzisiaj trwa zaledwie 20 godzin. Dzięki telegrafom i telefonom najbardziej oddalone narody skomunikować się mogą w ciągu kilku minut.

Suma mechanicznych sił produkcyjnych całej ziemi równa się dzisiaj w przybliżeniu 50 milionom koni, t. j. siła mechaniczna zaprzężona do pracy wytwórczej na całej ziemi równa się sile jednego miliarda robotników. Produkcya wobec tak nadzwyczajnego rozwoju sił wytwórczych musiała wzrosnąć ponad potrzeby konsumcyi, musiała doprowadzić do tego, że człowiek opanowany został przez nią i nie wie, co z własnem swem dziełem ma począć. Usiłuje on znowu zapanować nad swą siłą produkcyjną, usiłuje wyłamać się z krępujących go już ram dzisiejszego ustroju.

Praca ludzka wobec rozszerzania się maszyn z niewolniczej staje się kierowniczą, mniej uciążliwą i krócej trwającą. Produkcya koncentruje się coraz więcej. Zależna od komsumcyi pierwotnie, trzyma dzisiaj w zależności konsumentów. Chodzi jej o to, ażeby jak najwięcej było konsumentów, jednocześnie zaś, mechanizując się coraz bardziej, zmniejsza stosunkowo ich ilość. Dzięki podbojowi krajów, nie wchodzących dotychczas jeszcze w granice jego panowania, dzięki podbojowi nowych rynków, system ten utrzymuje się jeszcze w pełni rozwoju, lecz z chwilą, gdy cała ziemia znajdzie się pod jego panowaniem, gdy cała ludzkość dostanie się w krępujące jego uściski, wówczas rozpadnie się on, jak się rozpadły systemy poprzednie, ażeby ustąpić miejsca systemowi nowemu, który rozwija się już dziś w jego łonie.

Każdy ustrój, każda organizacya nosi w sobie zarodki, czyli przyczyny owego rozkładu, nosi w sobie swą antytezę, jak mówią zwolennicy filozofii Hegla. Rozkładowe te przyczyny, stanowiące pewno zło w danej organizacyi, są atoli jednocześnie przyczynami twórczemi dla organizacyi następnej, wyższej ewolucyjnie, są zatem pewnem dobrem dla przyszłości. Złe strony dzisiejszego systemu produkcyi potrzebne są więc koniecznie nie tylko dla dobra tych, którzy z nich korzystają, ale i przyszłego dobra tych, którzy cierpią dziś z ich powodu. Ponieważ zaś są potrzebne, ponieważ społeczeństwa ludzkie nie mogłyby się bez nich rozwijać w dalszym ciągu, nie są one zatem niemoralne.

Porzućmy dotychczasowy sposób zapatrywania się na życie, polegający na unieruchomianiu go i odrywaniu od przeszłości i przyszłości. Życie przestaje być wówczas życiem, przestaje być strumieniem, odżywianym bezustannie przez nowe wody i zamienia się w bagno, zamienia się w trupa. Życie jest ruchem i w ruchu musi być badanem, jeżeli chcemy je poznać. Wszystkie fazy dotychczasowego jego rozwoju łącznie w dynamicznym z sobą związku i wszechstronnie muszą być rozpatrywane, wtedy dopiero zrozumiemy istotę teraźniejszości i dostrzeżemy kierunek, w jakim ona rozwijać się musi dalej w przyszłość, a nawet

---

— Baba jest zwyczajnie jędza — mruczał — a bądź co bądź ręka nie jest jeszcze zła. Jakby tak padło, ho, ho!

Lubiał ksiądz Piotr w letnie popołudnie za ogrodzenie plebańskie wejść i na ławce pod starym cisem siadłszy, w świat patrzeć. Widział ztąd zboża złociste, pełne modrych bławatków i maków czerwonych, różowe i białe zagony koniczyn, łąki przesiane mnóstwem różnobarwnych kwiatków, mieniące się pod blask słoneczny. Widział bór ciemny, jakoby pod drzącą, przezroczą gazą złoto-szmaragdowego światła, i gdzieś daleko mgliste, błękitniejące góry; a nieopodal widział jezioro wielkie, cichą, lekko falującą z wiatrem rozchwiej wodną, nenufarami żółtemi u brzegów i szeleszczącem sitowiem zarosłą, iskrzącą się miejscami jak blacha srebrna w słońcu, miejscami siwą lub siwo-fioletową. Po jeziorze pływały kaczki dzikie, czerniąc się na topieli sznurami, zawisały ponad niem czaple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzykliwych, a jezioro ciągnęło się szeroko, głęboko w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko to było zatopione w jakąś śreżogę światła, nieskończenie spokojne, rozległe, prawie bezgraniczne, jakby zasłuchane w wiatr i szum łąk i wody, łagodnej smętności, rozkołysanych tęsknot, jakiejś polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upojeń pełne....

Ksiądz Piotr patrzał i patrzał, i zrazu odróżniał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli poczynał mu się ten cały duży i rozmaity świat zlewać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę, błękitną a prześwietlną. Zboża, kwiaty, trawy i ciche kręgi fal jeziora i czaple na szerokich białych skrzydłach i stada krzykliwych czajek i obłoki przejrzyste i niebo jasno-błękitne, wszystko to napełniło mu oczy i czyniło w nich wielką światłość pogodną i niezmiernie słodką. Zdawało się księdzu Piotrowi, jakoby on już nie świat sam rzeczywisty, ale duszę świata widział, raczej opar jakiś czy mgłę, kolory ziemi niosącą, niż samą ziemię.

A potem to widzenie więcej duchem, niż oczyma poczynało się gubić i rozwiewać w przestrzeni wyłaniających się z pamięci obrazów, niegdyś widzianych. Zatem poczynały się w duszy księdza Piotra rozbłękitniać olbrzymie przewieje morskie, z okrętami o białych żaglach i olbrzymie przewieje pustynne; poczynały w niej szumieć cedry Libanu i palmy oaz arabskich, poczynały w niej rość piramidy milczące i wulkany o czerwonych kiściach płomienia u szczytu; poczynały się jawić miasta wschodnie, stubarwne, i owo rzymskie, martwe, z ziemi dobywane, i ludzi tłumy i zwierzęta dziwne; tworzył się w niej jakiś łagodny, przyćmiony odległością czasu chaos wrażeń, ogarniało go zapomnienie się, zamyślenie. I nieraz dopiero wysłany umyślnie przez gospodynię ulubieniec staruszka, siedmioletni sierota, Ignaś Znajda, budził go z zadumy, ciągnąc za sutannę.

— Jegomość!

— A... a co?

— Jegomośc spali?

— E, tak mi się tylko nieco zdrzemało.

— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, zaraz idziemy.

— Jegomość!

— A co?

— A cy Pon Jezus to tak po niebie chodzi, jak jegomość po ziemi?

— A tak.

— A cy je bosy?

— A pewnie. Pocóżby tam buty nosił, kiedy ciepło.

— A cy je wielgi?

— Ho! ho! jak świat!

— A to jak pierun gruchnie, to mu między palce od nóg leci?

— A pewnie, pewnie.

— A cy je dobry?

— Ho, ho! jak miód!

— A miód je dobry?

(Dokończenie nastąpi).

ogólne reformy samej przyszłości. Teraźniejszość jest tylko ogniwem w łańcuchu istnienia; cała przeszłość złożyła się na nią i cała przyszłość od niej zależy. Złe jej strony nie są czemś przypadkawem, ale koniecznością ewolucyjną; są one rodzajem fermentu, niezbędnego dla dalszego przekształcenia się jej, dla dalszego jej rozwoju. „Gdy zło nad miarę przeleje, to się często na dobre przechyla“ — mówi Słowacki. Zdanie to, jak i podobne doń: „niema tego złego, coby na dobre nie wyszło“, najzupełniej są słuszne w zastosowaniu do życia społecznego. Jak bez zła przeszłego nie byłoby tego, co dobrem jest dzisiaj, tak bez zła dzisiejszego nie byłoby tego dobra, jakie przyszłość światu przyniesie.

Ustrój dzisiejszy nie jest wobec tego ustrojem jakimś najgorszym, jakąś szczególną fazą zła pomiędzy dobrem przeszłości i przyszłości. Odpowiada on pewnej epoce rozwoju ludzkości, jak ustrój rodowy odpowiadał epoce dawniejszej, jak ustrój przyszły odpowiadać będzie epoce następnej.

Dr. Antoni Złotnicki.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWEMU BOGU.

O, zleć na skrzydłach burz,
O, zstąp!
Czy słyszysz okrzyk w krąg?
Czy widzisz tysiąc rąk
U stoku świętych wzgórz,
Miecących głazów złom
Na dawnych bogów dom?
Bunt groźny tłumów tych Olimpu wstrząsa [zrąb, —
Umiera bogów ród...
Do miast swych wraca lud, —
Strząsając z szat swych kurz,
W dal pieśń tryumfu szle
I wszystko wzywa cię:
O, zstąp,
O zleć na skrzydłach burz.

* * *

O przyjdź jak wiosny dzień,
Jak blask!
Wieszczą cię szmery zbóż,
Wieszczą cię szumy mórz
Wśród gwiazd srebrzystych drzeń —
Czeka cię tęczy łuk
I łąk zielonych smug.
Świat cały czeka cię, o dawco przyszłych [łask!
Lud twój wieńcami róż
Ofiarny zdobi kruż
I wśród pochwalnych pień
Na cześć twą pali stos —
I wielki płynie głos:
Jak blask,
Jak wiosny zjaw się dzień!

* * *

W potęgi zbrojny dar,
O zleć!
Znękanym sercom daj
Zapomnień cichy kraj,
Wróć pieśni dawny czar,
I spraw, niech z ludu warg
Nie płyną słowa skarg;
Wszak chwałą twoją brzmi złocona kotłów [miedź!
Nim zwiędną wieńce róż
Nim zgaśnie w głębi dusz
Mistycznych wierzeń żar,
Zanim cię ludzi moc
W nicości zepchnie noc, —
O zleć,
W potęgi zbrojny dar.

Stanisław Wyrzykowski.

Dochody artystów i ceny dzieł sztuki.

Kiedyindziej już miałem sposobność zaznaczyć, jak publiczność nasza lubi się wczytywać w ceny, znajdujące się na kartkach przyczepionych do obrazów na naszych wystawach stuki. Bynajmniej nie dla tego je czyta, żeby miała zamiar obraz nabyć, ale z prostej ciekawości; może uważa to za nieodzowny warunek dobrego obejrzenia obrazu...

Dość, że czy z tej, czy z innej przyczyny zwyczaj ten jest bardzo powszechny. Po przeczytaniu ceny, następuje często lekki okrzyk zadziwienia, że podana suma jest taka wysoka i refleksye: „Co to za te pieniądze możnaby kupić? Czy za taki mały obrazek da kto tyle? Dlaczego ci artyści takie fantastyczne ceny podają? Jakże muszą być szczęśliwi i opływający w dostatki ci z nich, których obrazy są rozkupywane?“ itd.

Płótno porównywa się do cen rzeczy bardziej znanych: do szafy, lustra, kanapy, sukni balowej, konia, lub fortepianu i okazuje się, że obraz od tych rzeczy jest mniejszy, nie posiada tych przymiotów użeteczności a mimo to jest od nich droższy...

Ceny te wysokie a w pewnej części i brak poczuć artystycznych, oraz zamiłowania do sztuki, wywołują dość powszechny anachronizm w urządzeniu naszych apartamentów. Salon, gabinet urządzamy z przepychem: meble, portyery, tapety, dywany, firanki — wszystko to jest kosztowne, kapiące od ozdób i jedwabi. W rogu salonu stawiamy drogi fortepian, choć nikt w domu grać nie umie, ale za to ku ozdobie ścian zjawiają się różne reprodukcye, litografie w skromniutkich ramkach, które może są tańsze od tego kawałka tapety, jaki sobą zakrywają.

W restauracyach, hotelach i tym podobnych miejscach, gdzie chodzi o jak najtańsze urządzenie tuzinkowego komfortu, tam każdy mebel ma tylko pozory szyku a w rzeczywistości jest lichą tandetą i imitacyą, wszelkie więc oleodruki, litografie itd., są tam we właściwem otoczeniu. W domach jednak prywatnych mogą one pasować przy meblach krytych jutą lub bawełnianą materyą, nigdy zaś przy wytłaczanych aksamitach, jedwabiach i atłasach. W gabinecie lub bibliotece, jest odpowiedniejsze miejsce dla dobrych sztychów i kosztowniejszych reprodukcyj, ale w salonie o ile oryginalnemi są jedwabie kryjące meble, dywany an-

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

— Gotowa umrzeć!

— Nie wiem. Udzieliłam mu urlopu w twoim imieniu. Podziękował i odszedł.

— Dobrze zrobiłaś. Więc nudziłaś się sama, nieprawdaż?

— Ależ nie, czytałam zajmującą książkę. Zresztą zastanawiałam się, coby Smolarz zrobił z tą małą siostrą Anną, gdyby matka umarła. On tę siostrę tak kocha. I wiesz ojcze co wymyśliłam.

— Borajski, który w tym czasie żałował, że Lola nie chce przyznać się, iż w domu było jej samej smutno, bąknął machinalnie:

— No?

— Oto w razie śmierci Smolarzawej zabieram tę ukochaną przez niego Anulkę do nas do domu.

— Ha, czemużby nic?... Więc się nie nudziłaś dzisiaj moja duszyczko?

— Ach, mówiłam raz, że nie.

— Kiedy nie, to dobrze.

Wstał, złożył pocałunek na czole swej córki i odszedł do swego pokoju, zamierzając jutro, pojutrze, lub kiedyindziej wybadać Lolę i zapytać coby na to powiedziała, gdyby on miał zamiar ożenić się po raz wtóry.

Nazajutrz powtórzyły się nalegania przyjaciół wspólnego stołu u Bronarza, powtórzył też stary Borajski zapytanie wobec Loli, czy chciałaby mieć miłą towarzyszkę w domu — no, i gdy ta myśląc o Anulce Smolarzównej odpowiedziała „i owszem“, wyspowiadał się ojczulek przed nią ze swych zamiarów.

Lola nie zastanawiając się zbytnio nad doniosłością sprawy, naśmiawszy się i nażartowawszy z ojcowskiego zakłopotania, dała swe najwyższe przyzwolenie, czego następstwem było, że wkrótce potem wybrał się sąsiad Szeląg do sąsiada Antoniego Grzebińskiego, jako swat pana Borajskiego Kajetana.

Z powodu pierwszych odwiedzin u przyszłej pani Borajskiej, sprawił sobie pan Kajetan piękną czamarę z czarnej, cieniuteńkiej materyi, jasny filcowy kapelusz, buciki z kozłowej skóry, miękkiej jak rękawiczka i przedstawił się w podrygach i niskich ukłonach hożej Marcysi Grzebińskiej, jako wielbiciel jej lic rumianych, ozdobionych dołkami po obu ust kącikach, jej oczu czarnych, uśmiechających się słodko, brwi i rzęs jedwabistych i rącząt pulchnych, jakby przez zdolnego tokarza z ciasta wytoczonych, a upieczonych na śmietankowem maśle.

Panna mu się podobała, on jej także — Lola pozwoliła — cóż zatem mogło stać jeszcze na przeszkodzie?

Do pięciu zatem niedziel, przed samym świętym Markiem, ożenił się Borajski z Marcysią. Organy zagrały mu marsza gdy wychodzili ze świątyni Pańskiej, muzyka powitała go fanfarą na progu domostwa pana Antoniego. Marcysia wśród tego tuliła się zalotnie do jego boku. Potem goście hulali i pili, młoda żonka szalała z radości, tańcząc bez upamiętania do białego dnia, Lola ściskała ją i całowała co chwila, zowiąc potrosze filuternie, potrosze naiwnie „złotą, kochaną panną macoszką...“ słowem, wszystko odbyło się pięknie i składnie.

Borajski patrząc z boku na miły stosunek tych dwu drogich mu kobiet, nie mógł się powstrzymać od radosnych wybuchów śmiechu.

Pani Borajska za przybyciem do domu, okazała się na wstępie wzorowo czułą i dobrą „macoszką“. Za całusy odwzajemniała się Loli gorącemi pieszczotami i godziła się z góry na wszelkie kaprysy wesołego podlotka, przyznającego się do nich z całą szczerością.

Ponieważ właśnie w tym czasie umarła Smolarzowa, a biedny pan Franciszek skarżył się raz przed Lolą, że Anulce źle jest u organiściny w Zapłotku, gdzie ją po śmierci matki umieścił, i że mu bardzo tęskno do małej siostrzyczki, więc Lola objawiła życzenie zabrania Anulki do domu rodziców. Pani Marcysia nie miała oczywiście nic przeciwko temu.

gielskie lub wschodnie, o tyle ściany powinny być ubrane oryginalnemi pracami artystów.

Ale powróćmy do cen tych prac oryginalnych i zobaczmy, o ile są one uzasadnione a także, czy artyści robią na nich tak świetne interesa. Nie będę się zastanawiał nad talentami wyjątkowemi, choć i o tych poniżej będziemy się mogli przekonać, że sumy, jakie za swe prace biorą, są często mniejsze od wyłożonych kosztów. Że za wyjątkowy talent należałoby się też wyjątkowe wynagrodzenie od społeczeństwa, na to się zapewne wszyscy zgodzimy, wezmę tu jednak pod uwagę tylko przeciętny typ artysty.

Mylnem jest dość rozpowszechnione przypuszczenie, że artysta mało się potrzebuje kształcić, że dość trocha talentu, tej iskry bożej — a reszta sama idzie jak po maśle. Że bez tej iskry na niewiele się praca przyda, to fakt, że jednak sama iskra nędzne będzie wydawała światło, bez odpowiedniego wykształcenia jej pracą i wiedzą, to także wątpliwości nie ulega. Przeprowadzimy porównanie pomiędzy lekarzem i prawnikiem, temi typami tak powszechnie ogółowi znanemi a artystą. Dwaj pierwsi mogą być ogółowi pożyteczni swą pracą, nawet gdy posiadają wszelkie przymioty natury, jak zdolności umysłowe i inteligencyę nieprzechodzące granic przeciętnych i normalnych, artystę jednak bez talentu lub talenciku wyobrazić sobie trudno. Czy to jest malarz lub rzeźbiarz, czy literat lub muzyk — każdy z nich musi posiadać jakąś dozę wyjątkowego daru natury, aby na obranej drodze mógł coś zdziałać.

Że za talent choćby czysto fizyczny i bez osobistej zasługi dany przez naturę, powinno się opłacać wyjątkowo, o tem najlepiej mogą zaświadczyć gardła wyrzucające wysokie *c* wśród rozentuzyazmowanych słuchaczów. Cofam jednak pretensyę do wyjątkowego wynagradzania i ciągnę dalej rzecz o przeciętnym artyście, w porównaniu z przeciętnym lekarzem i prawnikiem.

Jest dość powszechnie przyjęta, przynajmniej w teoryi zasada, że im kosztowniejsze było czyjeś wykształcenie, tem się ma prawo do większych następnie wynagrodzeń.

Lekarz potrzebuje stracić ośm lat na gimnazyum a pięć na uniwersytet, razem trzynaście. Dodam dwa jeszcze potrzebne na zdobycie jakiej takiej praktyki, pozwalającej pójść już o własnych siłach.

Pomiędzy artystami różnie bywa. Jedni kończą gimnazya i uniwersytety i dopiero następnie poświęcają się zupełnie sztuce, inni idą na tę drogę wcześniej a czasem z elementarnem tylko wykształceniem. Nie trzeba jednak identyfikować braku świadectw szkolnych z brakiem inteligencyi a nawet wykształcenia. Nie tylko z książki, ale i z życia człowiek się uczy, a położywszy paletę, niejeden z młodych adeptów sztuki, poświęca wolny czas książkom i całe lata spędzone nad niemi choć nie poświadczone świadectwami i pieczęciami, dają mu prawo do nazwy człowieka wykształconego.

Można jednak przyjąć, że ogół odbiera średnie wykształcenie gimnazyalne a mógłbym cały szereg nazwisk wyliczyć, nawet z naszej szczupłej kolonii artystycznej, gdzie artysta kończył w pierw prawo, matematykę, lub inny wydział uniwersytecki a następnie dopiero wstępował do jakiejś szkoły lub akademii sztuk pięknych.

Są zwolennicy i przeciwnicy szkolnego kształcenia się w sztuce, to jednak pewna, że zupełnym samouczkiem być prawie niepodobna. Że nam tu nie o teoryę kształcenia, ale o obliczenie kosztów chodzi, weźmę za podstawę czas spędzany w różnych szkołach sztuk pięknych. Nie jest on ścisłym, bo głównie od zdolności i postępów zależy, i przesiadywanie kilku lat na jednym kursie ani do wyjątków nie należy, ani za złe uważane nie jest. Zwykle młodzieniec okazujący zdolności, nie czeka aż skończy wykształcenie encyklopedyczne, ale w wolnych chwilach, często bez planu i dorywczo, pracuje nad sztuką w sposób dyletancki. To mu pozwala czasem króciej na niższych kursach przebywać. Średnio licząc, przebywanie w którejkolwiek szkole sztuk pięknych pochłania około pięciu do sześciu lat czasu. Jeśli więc przyjmiemy, że uczeń wstąpił do niej, ukończywszy w pierw gimnazyum, to lata w szkole spędzone, odpowiedzą latom lekarza spędzonym na uniwersytecie. Ale lekarz, otrzymawszy dyplom, poprzestaje zwykle na tem i zabiera się do eksploatowania swych wiadomości, student zaś kończący szkołę sztuk pięknych widzi, że umie namalować modela, studyum akademickie, na dany temat skomponować szkic w sosie, jaki jest w modzie w danej akademii, ale do tworzenia skończonych obrazów, do zostania artystą, jeszcze mu daleko. Dla nich to istnieją przy akademiach majsterschule, stypendya na wyjazd itd. Wyjeżdża więc taki młody człowiek zagranicę, do wielkich ognisk sztuki, zwiedza muzea, galerye i zwykle wstępuje na nowo do jakiej znanej akademii, żeby popracować pod kierunkiem cieszącego się rozgłosem profesora. I w ten sposób znów kilka lat przemija i licząc razem z początkowemi studyami, przeminie z dziesiątek lat, zanim do pierwszej poważniejszej pracy może artysta przystąpić. Przez cały ten szereg lat, nic mu praca nie przynosiła dochodu, przeciwnie, kosztowało go wszystko dość dużo. Ogół w latach studyów pracuje z konieczności dla zarobku, że jednak te prace często rzemieślnicze i licho płatne, tylko opóźniają postępy — dowodzić nie potrzebuję.

Widzimy więc, że artysta większą ilość lat traci na udoskonalenie się w swym zawodzie, niż lekarz lub prawnik. Dowiodę też, że są te lata kosztowniejsze. Student medycyny, po za osobistemi wydatkami, potrzebuje tylko pieniędzy na wpis i na trochę książek fachowych. Młody artysta, po za zwykłemi wydatkami, ma drugie tyle kosztów na opłatę akademii, które, jeśli są prywatne, kosztują drogo, bo po 20—40 a nawet 80 mr. miesięcznie a po za tem są codzienne wydatki i to dość uciążliwe dla szczupłej kieszeni studenckiej, na płótno i farby, których przy ciągłem rozpoczynaniu coraz to nowych studyów, bardzo dużo wychodzi. Jeśli młody artysta pragnie pracować po za akademią, musi nająć choć niewielką pracownię, która kilkakrotnie przenosi cenę pokoju, w jakim student medycyny mieszka, i musi ponosić duży koszt na modele. Mówię o kosztach potrzebnych do normalnego kształcenia się, większość jednak niestety, pozbawioną jest tak dużych środków, albo więc mniej korzysta niż mogłaby, albo ponosi nadmierne wydatki na

---

I tak szczęście zacnego pana Kajetana Borajskiego było zupełne — ale...

Ale niezapominajmy, że działo się to wszystko przed trzema laty.

II.

Płynie sobie między wzgórzami potoczek szeroką a długą nieskończenie łąką. Płynie sobie spokojnie od młynka do młynka, przełazi z szumem, hukiem i parskaniem po kołach jednego, potem drugiego, trzeciego... i tak wszystkich siedem po drodze odwiedza, nie pomijając żadnego, wzorem nałogowego pijaka, któremu każda przydrożna karczemka miła. Nazywa się on „Rudy“.

Rudy potok miał zresztą wcale niezły gust, obierając sobie tę okolicę za szlak codziennej wędrówki. Przyznali mu słuszność w tym względzie sami ludzie, skoro jakby z zazdrości zbudowali wedle jego łąki bitą drogę „murowaną“, aby nią iść lub jeździć co piątku na jarmark do sławetnego miasta Kołczanowa.

Lecz, mój Boże, co Rudy robi sobie z ludzkiej zawiści?

Oto co piątku gonią z nim ludziska na wyścigi prostą drogą, podpędzając konie batożkami i myśląc, że będą prędzej w Kołczanowie. Gdzież tam, nieprawda. Między Zapłotkiem a Kozową jest z figurą świętego Andrzeja stroma górka, przy której i najlepszy koń zasapie się i zmęczy — nie mniej przykrą jest górka za Kwaśną i pod samym Kołczanowem — on tymczasem wywinie się po swojej jak stół łące w prawo, w lewo, nieraz nawet uda, że zawraca do domu, a mimo to czasu nic nie traci i nie męczy się: jeno płynie szparko i zdąża prędzej od nich do miasta. Otoczyły go góry i górki i bory wielkie i małe borki, przychodzące aż do jego koryta.... przychodzące z ciekawości, aby posłuchać, co czasem z wiosną Rudy prawi, gdy mu się na humor zbierze i warkotać kamyczkami zacznie. — On tym lasom, tym skałom co tu i tam sterczą jak tablice wielkie, tej przyjaciółce starej, szerokiej łące opowiada, co słychać u niego w domu, tam w wysokich górach, które hen, hen, widnieją na widnokręgu: jak tam już słońce grzeje i jak jest zielono po halach... Opowiadałby to samo tym chatom, co się rozsiadły przy nim zgarbione, — gdyby miały choć iskrę poezyi w sobie. Ale one są brudne i brudy swoje zdają mu, by dalej poniósł. Ileż to mydlin, śmiecia i innych obrzydliwości musi on od nich cierpliwie przyjmować! To też Rudy nie lubi ludzi ani ich domów; chaty i wioski mija prędko z zasłoniętemi oczyma, byle jak najprędzej dotrzeć do drugiej łąki, gdzie mu już jest wolniej i weselej. Niekiedy w złości, nadmie się, rozszerzy i uszarpnie której naumyślnie płot lub część chlewka, żeby niezdara wiedziała, że zbliżać się zbytnio do niego nie wolno. Tylko jedne młynki wielką mu radość sprawiają, bo jest w nich życie i poezya, a nawet walka..... zwłaszcza z tem kołem wielkiem, co Rudemu zęby nastawia i powiada „nie puszczę“ — „Otóż wiedz, że puścisz“ — powiada Rudy — spiętrzył się, nacisnął i już jest na drugiej stronie i tylko zaszumi, zaśmieje się z radości, że się przecież pokonać nie dał....

W ten sposób bieży on od Karpat aż do wielkiej matki-rzeki, która go za Kołczanowem w swoje przyjmuje ramiona.

Po drodze widzi wiele lasów, ale najmilsze mu są te, które ciągną się koło Zapłotka. Stare tam są sosny a takie rosochate, że ich obrazu w niewielkiem zwierciedle pomieścić nie może; że przez ich sumiaste wąsiska nawet w pogodny dzień nigdy słońca nie widzi.

Dawniejszymi czasy wychodził z nich codziennie barczysty, junacki Smolarz i siadał często gęsto nad brzegiem źródełka, bijącego z pod skały. Strzelbę zdejmował z ramienia, z torby myśliwskiej dobywał chleba, czosnku i wędzonej słoniny, jadł to wszystko krając ostrym nożykiem w płatki, a potem kładł się na brzuch i ciągnął wodę chaustami z kryształowego źródła. Kiedy wstał, z dużych wąsów jego lały się jeszcze strumyki. Ocierał je garścią, zarzucał strzelbę na ramię i szedł dalej.

Niekiedy towarzyszył mu mały chłopczyna, zwyczajnie bosy, z odkrytą głową i skrzypkami z deseczki pod pachą. Zdarzało się nieraz także, że strzelba i skrzypki wi-

kształcenie się, odbijając to sobie na najpierwszych potrzebach. Ta suma przykrości i codziennych dobrowolnych ofiar, chyba może być uważaną za równoważną z owemi normalnemi kosztami studyów. Tak więc, artysta potrzebuje odbywać dłuższe i daleko kosztowniejsze studya, niż doktor lub prawnik, a co za tem idzie, należałoby mu następnie drożej płacić za jego czas i pracę, choćby się nawet nie brało pod uwagę talentu.

Tymczasem doktór objeżdża chorych, zabawi u każdego kilka, lub najwyżej kilkanaście minut, zapisze receptę i mareczki (zresztą słusznie mu należne) chowa ciągle do kieszeni.

Prawnik, za kilkanaście minut rozmowy każe też sobie płacić kilkanaście marek. W ten sposób, jeśli jeden i drugi rzeczywiście w ciągu dnia pracował, to wieczorem przekonywa się, że posiada tyle, iż nietylko na wygodne całodzienne utrzymanie domu mu wystarcza, ale i trochę na bok odłożyć może. Obaj ci panowie, w większej części wypadków, żadnych kosztów nie mają, ofiarowując tylko swą wiedzę. Nie liczę tu wcale różnych operacyj, suto zwykle pracę i zręczność wynagradzających, nie liczę też szczęśliwie przeprowadzonych procesów, itd. Dodać też mogę, że np. lekarz z góry wie, na jakie dochody może liczyć i ma je niemal zapewnione. Często ma stałą pensya a ilość okolicznych mieszkańców, pozwala mu dość dokładny rachunek prawdopodobnych różnych dochodów wyprowadzić.

Jakie są dochody artysty?

Po za kosztami urządzenia pracowni, co odpowiada gabinetowi lekarza, musi on rozporządzać pewną sumą, pozwalającą na rozpoczęcie danego obrazu.

Po przygotowawczych studyach, często bardzo kosztownych, bo wymagających wyjazdów itd., artysta rozpoczyna pracę. Jeśli to będzie malarz, łoży koszta na płótno, farby i ramy, jeśli rzeźbiarz, jeszcze więcej kosztują go: glina, odlewy gipsowe, bloki marmuru, lub odlew w bronzie. Często trzeba nagromadzić różne potrzebne a zwykle kosztowne akcesorya, jak stara broń, makaty, kostiumy itd. Rozpoczyna się praca i zaraz zjawia się znaczny koszt modela. Wystawmy sobie, że przez parę miesięcy a często i dłużej, malarz, potrzebujący jednego lub kilku modeli do obrazu, musi dać możność kompletnego utrzymania się jednej a często kilku osobom, które zajęte cały dzień w jego pracowni, o innym zarobku myśleć nie mogą. Wreszcie doliczmy do wszystkiego koszt utrzymania samego artysty podczas pracy. Wydatki rzeźbiarza z powodu kosztowności materyałów i potrzeby pomocy różnych rzemieślników przy odlewach, kuciu w marmurze itd. — są jeszcze większe.

Wreszcie praca została ukończona. Artysta wydał na nią z własnej kieszeni często znaczną sumę. Obraz lub rzeźba zostaje wystawioną, zyskuje poklask krytyki, ale.... nabywca się nie trafia wcale i praca powraca do pracowni autora, który rozpoczyna nową kompozycyę i na stworzenie jej ponosi nowe wydatki, nie mając o jotę większej pewności że to nowe dzieło nie wróci tak jak poprzednie do pracowni.

Im dzieło stworzone było większe i sumienniej opracowane, tem koszta stworzenia jego musiały być znaczniejsze a więc i cena sprzedażna wyższa. Wysokość znów tej ostatniej, największym nawet wielbicielom talentu artysty utrudnia nabycie dzieła. To błędne koło czyni, że mimo popędu wewnętrznego do tworzenia dzieł większych, niejeden artysta zmuszony jest malować rzeczy tuzinkowe, które prędko na stalugach wykończa, bez sumienniejszego opracowania i prędko między publicznością się rozchodzą, dając grosz gotowy autorowi. Nie trzeba jednak sądzić, że tylko dzieła wielkie są kosztowne a małe, ale sumiennie opracowane, niewiele kosztują artystę. Dzieje Meissoniera najlepiej temu kłam zadają!

Gdy lekarz lub prawnik znajdą uznanie i sławę dochody ich kolosalnie rosną, wydatki zaś *fachowe* nie powiększają się prawie wcale. Gdy zaś artysta szczęsliwie znajdzie uznanie, a co więcej powodzenie materyalne, wydatki jego rosną bodaj szybciej, niż dochody. Namalowanie i sprzedanie jednego większego płótna zachęca i bez tego rwącą się duszę artysty, do rozpoczęcia nowego, któreby przeszło swego poprzednika gruntownem opracowaniem, techniką i doborem przedmiotu. Bada więc, robi studya przygotowawcze, skupuje mnóstwo przedmiotów, które zdają mu się być potrzebne i zamienia pracownię na istne muzeum a modelom płaci naturalnie bez owego skrupulatnego obrachowywania się jak wówczas, gdy sam miał jeszcze mniejsze od modela dochody: jednem słowem, pieniądze nawet oględnie wydawane, rozlatują się na wszystkie strony.

Choćby artysta najbardziej był zamiłowany w swym zawodzie, to proza życia codziennego zmusi go do wymagania, aby sztuka, której służy, dała mu możność choć skromnego utrzymania się. Aby nie wpaść w deficyt lub długi, co niestety nierzadko się zdarza, musi obliczyć, że jeśli taką sumę na siebie i swą pracę wydaje rocznie, to przynajmniej tyleż powinien od ogółu za obrazy dostać. W przeciwnym razie musiałby mieć osobisty majątek dla pokrywania niedoborów. Sprzedane zatem obrazy powinny mu zapłacić nietylko za pracę nad niemi samemi, ale i za te dziesiątki studyów, które musiał robić a które całkiem do sprzedaży się nie nadają, za długie często poszukiwania i badania potrzebne do tworzenia dzieł nowych, wreszcie i za te dzieła, które, bądź że były nieudane, bądź że z powodu swych rozmiarów, nabywcy znaleźć nie mogły. Wszak to naturalne i w przeciwnym razie artysta nie mógłby egzystować.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zwierzenia dyakoniski.

Przyczynek do psychologii kobiety.

(**Adine Gemberg**: Aufzeichnungen einer Diaconissin. Berlin 1895.)

Psychologia kobiecej duszy jest obecnie tematem, który nadewszystko zajmuje pisarza współczesnego. Pisał on dotąd o kobiecie, stwarzając ją sobie na wzór i podobieństwo swoje — teraz jednak zaczyna się jej przypatrywać jako istocie zupełnie od siebie różnej i odkrywa w niej takie uczu-

siały Smolarzowi na piersiach, malec zaś przylegał niby tornister do grzbietu, obejmując rączętami szyję ojca, a kolanami biodra.

Ale już dawno dawno nie widział Rudy tego obrazka i pewnie go więcej nie obaczy.

Stary Smolarz był leśnym i mieszkał za wsią pod lasem w ładnej chacie, z okrąglaków zbudowanej. Rudy widzi ją dziś jeszcze codziennie, bo chata dłużej trwa niż życie ludzkie. Otacza ją, tę szarą, niewyprawioną na zewnątrz chatę, płot grodzony, na którego końcu stoi zielony słup, a na nim tablica ze znakiem rewiru i pańskim herbem wielkim jak dno czapki.

Tam to przyszedł Franek Smolarz na świat, a w jakiś czas po nim dziewczyna, którą nazwano Anulką — tam to spędzili oni oboje swą młodość, łażąc po płocie, grzejąc się na słońcu, zapędzając kury z lasu w ogrodzenie i używając swobody bez początku i końca.

Stary Smolarz był leśnym i pierwszym strzelcem u pana hrabiego — pierwszym był też postrachem na sprytnych kłusowników, co zaczajeni w bruździe pod lasem wybijali panu przy świetle księżyca kozły, sarny, zające i bażanty.

Nieraz, bywało, sunie się Smolarz brzegiem lasu, samym okopem cicho jak mara, przystanie na załomie, pochyli się i patrzy po miedzach. A wzrok jego bystry, który nigdy w celnym nie zawodzi strzale, odróżni o pięćset kroków — choć światło księżyca często oszukuje — kupę burzanu od zaczajonego Grzesia z Zapłotka, czy Dyzmy z Kozowej... lub też innego ze znanych sobie dobrze rabusiów zwierzyny. I wtedy już biada zoczonemu. W jednej sekundzie znika Smolarz w lesie. Za kwadrans może dopiero widać go daleko w polu: skuli się jak terlica, pełznie rowkami, to podbiegnie parę kroków, to przykucnie, to zniknie gdzieś zupełnie w dolinie, aż naraz zjawia się wysoki, wyprostowany, niby borek mściciel nad karkiem zapatrzonego w rąbek lasu kłusownika i woła:

— Ha dajesz tu strzelbę łajdaku!

I nie pomogą już żadne prośby, żadne błagania, ani też żadne zapewnienia, że strzelba dopiero ot, przed tygodniem kupiona i kosztuje siedm reńskich w srebrze, nie w papierkach. Zabierze jak swoją i poniesie w milczeniu do domu, by ją w niedzielę wraz ze skargą oddać leśniczemu.

Wiadomo, że dla kłusownika stracić strzelbę, to więcej znaczy niż pochować żonę lub dziecko. Smolarz zabrał ich może z pięćdziesiąt a samemu Dyzmie wydarł aż trzy!

Ależ to Dyzma odwzajemnił mu się za to.

Co prawda stracił trzecią i poszedł na dziesięć lat do więzienia, wszelako kula, którą posłał Smolarzowi z czwartej, gdy nieprzezornie wychylił się z lasu, była tak celną, że go położyła trupem na miejscu.

Smolarzowa, pogrzebawszy męża, przeniosła się z chaty leśnego do wsi, gdzie za pieniądze skarbowe kupiła chatkę, ogród i krowę.

Od tego też czasu Franek począł chodzić do szkoły. Uczył się doskonale: czytał biegle, pisał prosto i równo, śpiewał głośno i poprawnie, nadto okazywał niepośledni talent do rysunków i języków, czego dowodem że w trzeciej klasie będąc, nauczył się do dni kilku służby przy Mszy św. po łacinie i zastąpił innego chorego chłopaka, który zresztą nigdy obowiązków swych przy ołtarzu pełnić dobrze nie umiał; dzwonił źle, a księdzu naprzykład odpowiadał: *et cum szpirytutum.*

Proboszcz polubił Franka ogromnie i przepowiadał mu, że kiedyś zostanie niechybnie pisarzem gminnym.

Atoli matka Smolarzowa inną dla jedynaka obmyśliła przyszłość. Oto postanowiła wyprowadzić Franka na „jegomościa“, któryby jak ksiądz proboszcz głosił z ambony kazania, Mszę pięknie śpiewał i miał grosiwa wiele, a to za każdy pogrzeb, za każde wesele i za odpusty...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

cia i takie myśli, jakich nie spodziewał się u niej znaleźć. To poznanie swojej istoty ułatwia pisarzowi współczesnemu sama kobieta, która występuje dziś śmielej niż dawniej i spowiada się z rzeczy, o którą nie posądzał ją nikt. I oto znowu leży przed nami ciekawy przyczynek do psychologii kobiecej.

„Die Aufzeichnungen einer Diaconissin“ są pisane przez kobietę o wrażliwości artystycznej wielkiej i subtelnym zmyśle analizowania. Odsłaniają one cały ogrom wewnętrznych stron kobiecego życia, rzucają pęk jasnych świateł na typ w literaturze znany nie wiele, w życiu jednak powtarzający się co krok, na typ kobiety, która przechodzi przez życie, nie zaznawszy go zupełnie. Taką jest „siostra Minna“ ewangielicka diakoniska w opowiadaniu p. Adiny Gemberg.

Dwa lata temu powstała w Niemczech instytucya, znana dziś ogólnie pod nazwą „evangelische Diaconie“, instytucya na wpół świecka, na wpół duchowna, zapewniająca kobietom spokojne, bezpieczne życie i wygodne utrzymanie, a żądająca od nich w zamian umiejętnego pielęgnowania chorych. Siostra ewangielickiej dyakonii, ma wszelką wolność wystąpienia ze związku każdej chwili, ma wolność działania w charakterze swoim pomocnicy lekarskiej, gdzie chce i gdzie się jej podoba. Może pielęgnować chorych w szpitalach, które za to płacą dyakonii, lub w stacyach szpitalnych, urządzonych przez samą dyakonią, bogato wspieraną przez niemiecki świat protestancki — może wreszcie pielęgnować chorych w zamożnych domach prywatnych, albo też i ubogich, pozostających pod opieką dyakonii. Może, kiedy chce zamienić szary czepek dyakonissy na modną kapotkę światowej damy. Taka jej wolność. — Ale wstępując do związku musi ślubować karność i posłuszeństwo wobec przełożonych, musi ślubować pokorę i pozbycie się woli własnej dla celów zakładu — musi na czas służby wyzbyć się wszelkich porywów indywidualności własnej, musi przywdziać ów dziwny strój, który już na pierwszy rzut oka odróżnia ją od innych kobiet i piętnuje na cichą pobożną siostrę szpitalną. Jedną z tych sióstr szpitalnych jest i Minna młoda dyakonissa, której zapiski pamiętnikowe stanowią opowiadanie p. Adiny Gemberg.

Siostra Minna pisze pamiętnik, ponieważ w otoczeniu swoim, złożonym z sióstr pobożnych nie ma nikogo, komuby się zwierzyć mogła z myśli swoich, nie zawsze licujących z czepeczkiem dyakonissy. Wstąpiła ona do dyakonii, bo życzył sobie tego poważny pastor, jej opiekun, uważając to za najlepszę, najspokojniejszą przyszłość dla sieroty, bez dachu i bez opieki rodzicielskiej. Minna ma niezwykle piękny głos, szlachetnie artystyczną duszę, inteligencyą niecodzienną i ogromne zamiłowanie w muzyce. Wychowana od dzieciństwa w klasztorze, w tej atmosferze ścisłego porządku i karności, nie zaznawszy w życiu nigdy miłości żadnej, ani serdecznego ciepła, nie mając wyobrażenia o życiu i świecie, decyduje się zostać dyakonisą. Diakonia daje jej spokój, usuwa ją od walki z życiem, od starć między ludźmi. Spokoju tego ona pragnie. Pędzi więc życie w zakładzie, z jego monotonną i klasztorną jednostajnością, tylko czasem budzi się w niej drażniące pytanie: „Czy też nie ma w życiu nic coby wartem było więcej niżeli ten jej spokój.“ I wtedy nerwy jej grają, gra dusza — niespokojna w spokoju.

„Tak — dziecię moje — spokoju w życiu nic znajdzie nikt — powiada do młodej dyakonissy umierająca siostra przełożona, — ale można w niem znaleść miłość.“

Dziewczyna o bladej, spokojnej twarzy, słów tych nie rozumie. Miłość, litość, współczucie, dla niej, której nigdy nikt nie kochał, z którą nigdy nikt nie współczuł, dla niej są te słowa zagadką. Wie, że w życiu jej nie grają one roli, tylko czasem budzi się w niej tęsknota, której zdefiniować nie może. Czy tęskni za śmiercią? Śmierć to spokój, będzie więc studyować śmierć, a może znikną te dręczące ją utęsknienia, może w jej serce zstąpi cisza, której tak pożąda. Studyując śmierć, przypatruje się życiu. Wszak ludzie tak przywiązani są do tego życia. Dziwni ludzie! Pragną życia, kiedy to życie gotuje im bóle, boją się śmierci, kiedy ta śmierć daje im ukojenie. Cóż więc stanowi urok życia? Cóż tych ludzi złamanych, zniszczonych, czasem zwątpiałych i sceptycznych, czasem rozżalonych aż do goryczy, może wiązać z życiem? Cóż? Miłość.

Młodą dyakonissę otacza miłość wszędzie, spotyka ją na każdym kroku. Tylko ją wychowano tak, że nie umie kochać i nie ma kochać kogo. Patrzy więc na tę miłość i dziwi się.

Uczy upośledzone umysłowo dzieci z cierpliwością, która wzbudza podziw jej przełożonych ale cierpliwość jej nie jest wynikiem współczucia, raczej obojętności. A przecież, gdy jedna jej mała uczenniczka, dziecię skarłowaciałe i nierozwinięte umiera, — cóż szeptają ledwie zrozumiale małe sine usteczka: „Kocham cię, bo byłaś dla mnie dobrą“. Biedne dziecię przed śmiercią nie mówi nic innego, jak tylko kilka słów prawdziwej miłości za „pozorną miłość“.

Przynoszą do szpitala ciało młodej pięknej panny. Zderzenie się pociągów kolejowych, które setki ludzi pozbawiło życia, zabiło i tę młodą, cudną dziewczynę, o rudawozłotych włosach, nosku dumnym i cerze przezroczysto białej. Rekognoskuje ją młody hrabia.

„Ach siostro! to była moja kochanka“ — szepce hrabia — „całą młodocianą miłość moją złożyłem w tej kobiecie“. — Była ona śpiewaczką wielbioną, czarującą, ubóstwianą. Głos jej entuzyazmował, wargi jej nęciły, oczy mówiły: Pragnę kochania! I żyła i była kochaną. A siostra Minna stoi nad zwłokami rówienniczki swojej i myśli, że i ona ma głos potężny i duszę artystyczną i wdzięk i młodość. I porównuje życie swoje, wraz z jego monotonią w zakładowych murach, z tem życiem jakie wiodła Lily Monta.

Czy lepszem jest jej życie, od tego, którego istotę stanowi ziemska, płomienna miłość?

Na młodej, ujmującej, chorej na raka kobiecie, ma się w szpitalu dyakonii odbyć operacya. Młoda kobieta leży w oddziale siostry Minny. Ma osobny pokój, lepszą opiekę, jaką szpital daje osobom zamożniejszym. Towarzyszy jej mąż, zdrowy, przystojny, silny mężczyzna. Kochają się a choroba niszczy całe ich szczęście. Siostra Minna z chłodnym swym zmysłem obserwacyjnym przypatruje się parze. Dzień operacyi się zbliża. Młoda kobieta wie, że cierpieć będzie męki straszliwe, — ale uśmiecha się przez łzy, aby mąż nie dręczył się myślą o jej cierpieniu. Mąż, któremu fizycznie nic dolega nic, przechodzi katusze na myśl o jej bólach.

Ona, kładąc się drżąca i wybladła na stół operacyjny, szepce w chwili, gdy życie się jej rozstrzyga:

„Żeby tylko mąż to zniósł spokojnie.“

On stojąc pod drzwiami operacyjnej sali zaciska konwulsyjnie zęby i jęczy niby człowiek ranny śmiertelnie.

Co to znaczy? pyta siostra Minna.

Miłość i znowu miłość. Ale ziemska miłość wciska się w poważne mury dyakonii. Z siostrą Minną pragnie ożenić się pastor zakładowy, a potem lekarz zakładowy. Siostra Minna nie może pojąć, jakim sposobem ona spokojna i obojętna tę miłość wzbudza. Ma ona dla tych ludzi przyjaźń i życzliwość, ale miłość? Ach, gdy w ciszy nocnej staje przy organach w zakładowej kaplicy, pośród rzędem ustawionych trumien umarłych, wtedy to, śpiewając najulubieńsze melodye swoje, marzy o tym duchu, który prędzej może niż pastor zakładowy lub lekarz szpitalny, zrozumiałby tę tajemnie drżącą, ludziom niedostępną, muzykowi tylko zrozumiałą, spowiedź jej w tonach. Ale nie ma nikogo, coby jej mógł być duchem bratnim, a kochającym, — tylko stary profesor szpitalny ma łzy w oczach, gdy słucha jej pieśni, śpiewanych wśród umarłych i myśli o życiu tej kobiety, o bogactwach danych jej od natury, które tu się marnują w szpitalnych murach. A marnują się rzeczywiście.

Siostra Minna zaraża się i dostaje tyfusu, który zmienia się w ciężką, trawiącą suchotniczą gorączkę. Siostra Minna leży w zakładowej celi swojej i czuje, że śmierć wyciąga do niej dłonie. Śmierć! Nie bała się jej nigdy, pragnęła jej raczej. Ale śmierć dla niej, — młodej, pełnej wdzięku i uroku kobiety — dla niej śmierć? Teraz, kiedy ma się żegnać z życiem, zjawia się ono przed jej oczyma w mglistych, niewyraźnych obrazach. Przechodzi w myśli całą młodość swoją, spędzoną w klasztorze, — siedem lat dyakonii. Ale cóż to za wspomnienia, przesawają się przed jej oczyma? Same obrazy chorych umierających, sceny z życia kalek, rekonwalescentów, bluźniących lub żegnających się spokojnie z życiem. Ale to nie są sceny z jej życia? Jej życia? Wszak jej życie ograniczało się na przypatrywaniu się życiu drugich. I teraz nie ma nic, coby było jej wyłącznem, jej osobistem wspomnieniem...

Ale przecież... wszak tak ją kochają, — Teraz, gdy leży chora miesiące długie, widzi dopiero ile ma sympatyi wśród tych ludzi, z którymi żyła lat kilka, tak bliska ich, a jednak tak daleka. Siostry towarzyszki otaczają ją, patrząc w nią z ubóstwieniem, zgryźliwy stary profesor zagląda do niej w nocy, doktór nie odchodzi od jej łóżka, siostra przełożona usługuje jej sama. Czy miłością chcą ją przeprowadzić w tę ciszę, która jest śmiercią, a może być i nicością, straszną, beznadziejną, nieskończoną nicością? Czy to jest miłość? I w sercu umierającej dziewczyny rodzi się to dziwne uczucie, którego nie znała przez życie całe: — miłość do ludzi.

Taką jest mniejwięcej treść pamiętnika siostry Minny. Rzecz pisana z wielkim taktem artystycznym, miejscami pełna prostoty i szczerego liryzmu — owiana jest jakby jakimś stłumionym żalem. Jest to żal za życiem niewyżytem, jest to protest bogato uposobionej natury kobiecej przeciwko tym dziwnym warunkom istnienia, które nie dały jej się rozwinąć. I jako taki ma pamiętnik siostry Minny znaczenie ogólniejsze. Staje się on spowiedzią nietylko tych kobiet, które przysięga kościelna od życia odsunęła, ale całego szeregu tych wszystkich, które przechodzą przez życie, nie zaznawszy z niego nic, jak pracę, zaparcie się siebie, osamotnienie. Życie takie, jedynie pracą i rozczarowaniem wypełnione, może być jedynie udziałem kobiety. Mężczyzna zawsze i wszędzie może i umie sobie znaleźć coś, co życie mu uprzyjemni, kobiecie często nic zostaje nic, jak siedzenie po pracy w pokoiku swoim i wsłuchiwanie się w szum samowaru.

Nie jest wielką różnicą, czy życie jej stanowi uczenie swawolnych dzieciaków, czy prowadzenie ksiąg w wielkomiejskim magazynie, czy wreszcie pielęgnowanie chorych.

Tu wyrzeka się życia z świadomością tego, co czyni, tam życie daje jej pracę i utrzymanie, ale zresztą nic. I niejedna z tych, które od dzieciństwa znały tylko pracę, głuchą, gorączkową pracę, bez wszelkich uciech, może jak siostra Minna, stojąca nad zwłokami zmarłej, kochanej do szaleństwa śpiewaczki, szeptać z cicha: „Oto świat uczuć, o którym my nie mamy wyobrażenia.“ Nietylko w gwałtownych kolizyach, w nadziejach zawiedzionych leżą tragedye, ale i i w cichej samowiedzy pustki życiowej, w tej niemożności wyżycia sił danych od natury. To stanowi istotę tragedyi starych panien. „Le troisième sexe“ nazwał je raz Ferrero. I one to, pracujące z poświęceniem w najrozmaitszych filantropijnych stowarzyszeniach, występujące gdzieniegdzie z najradykalniejszemi hasłami feministycznemi, zajmujące się upośledzonemi lub nieupośledzonemi dziećmi, działające cicho, lub działające rozgłośnie, stanowią całą falangę owych istot zmarnowanych, zmarnowanych nie pod względem ideałów społecznych, ale ze względu na swe własne indywidualne życie, — których to jedną przedstawicielką jest siostra Minna. *L. R.*

Dumas ojciec o synu.*)

Cóż wam powiem o moim synu? Przyszedł na świat o tej nieokreślonej godzinie, kiedy dzień się już skończył, a noc się jeszcze nie zaczęła. To też zbiór przeciwieństw, tworzących jego dziwne „ja“, składa się ze świateł i cieni: jest leniwy i czynny; łakomy i wstrzemięźliwy; rozrzutny i oszczędny; nieufny i łatwowierny; zblazowany i niewinny; obojętny i skory do poświęceń; zimny w słowie, a gorący w pięści; drwi ze mnie umysłem, a kocha mnie całem sercem. Gotów zawsze okraść moją szkatułę, jak Walezyusz, a bić się za mnie jak Cyd.

Pełen jest werwy szalonej, pociągającej, niewyczerpanej, jakiej nie zdarzyło mi się nigdy dostrzedz u młodzieńca, werwy, co co jak źle stłumiony płomień, wybucha nieustannie w marzeniu, czy w czynie, w spokoju, czy w niebezpieczeństwie, w uśmiechu, czy we łzach.

Odważny na koniu, umie się obchodzić ze szpadą, fuzyą, pistoletem, doskonale tańczy wszystkie charakterystyczne tańce wprowadzone do Francyi po śmierci Gawota.

Od czasu do czasu gniewamy się. Wtedy on, jak syn marnotrawny, opuszcza dom rodzicielski, ja zaś kupuję cielca i zaczynam go tuczyć, najmocniej przekonany, że za miesiąc powróci zjeść swoją porcyą. Złośliwi utrzymują, że powraca dla cielca nie dla mnie, ale ja już tam wiem najlepiej, czego się trzymać w tej mierze.

Najpierwsze pytanie, jakie mi zwykle zadają obcy, niedyskretni ludzie, jest takie: „Ile należy do pana w sztukach pańskiego syna?“ Odpowiadam na to; absolutnie nic! Co więcej, gdy na próbie generalnej (bo ze sztukami mego syna poznaję się dopiero na próbach generalnych), dam Aleksandrowi jaką radę — muszę mu oddać sprawiedliwość — nigdy rady mej nie posłucha.

Raz wymawiałem mu: Dla czego nie mówisz ze mną o swoich sztukach gdy układasz plan, lub nie czytasz, gdy są już gotowe?

— Dla bardzo prostej przyczyny — odpowiedział. — Nietylko nasz sposób tworzenia jest różny, ale odmiennemi są wymagania sztuki w r. 1850, a w r. 1828. Wierzę tak bardzo w twój talent dramatopisarski, że twe uwagi zrodziłyby wątpliwość w moim umyśle i wpływem swym przeszkodziłyby rozwinięciu mego planu. Nie stałbym się tobą, a przestałbym być sobą. Lepiej tedy, abym pokazał się publiczności ze wszystkiemi mojemi wadami, ale i zaletami także mojemi.

W tym razie, jak we wszystkich zresztą kwestyą zdrowego rozsądku i ścisłego rozumowania, Aleksander ma najzupełniejszą słuszność.

Inni zajmą się rozbiorem moich i jego utworów. Ja powiem tylko, jak pisałem moje sztuki, a jak Aleksander tworzył swoje.

Przedewszystkiem zauważyć należy, że wychodzimy obydwaj z zupełnie różnych punktów; mój temperament skłania mnie do malowania namiętności, jego do przedstawiania obyczajów. Mnie pociąga niezwykłość i idealizm, jego — powszedniość i absolutna rzeczywistość. Ja zapożyczałem od Szekspira, on — od Moliera. Są to dwa zupełnie odmienne rodzaje sztuki. Gdy zabierałem się do roboty, zamykałem oczy, aby nie widzieć życia prawdziwego, szukałem w marzeniach lub we wspomnieniach jakiejś sytuacyi dramatycznej, zwykle jakiegoś rozwiązania. Gdy je znalazłem, sztuka była gotowa.

Proszę zwrócić uwagę, że Szekspir troszczył się o rozwiązanie najwięcej, Molier — najmniej. Wszystkie dramaty Szekspira mają rozwiązanie — mszalne lub nie, bo o to mu nie chodziło, ale zawsze ludzkie: np. „Makbet“, „Otello“, „Kupiec wenecki“, „Romeo“, „Ryszard III“. Oprócz „Swiętoszka“ żadna ze sztuk Moliera rozwiązania nie posiada. Powtarzam zatem, że mając najwięcej nabożeństwa do Szekspira, szukałem najprzód rozwiązania, a potem przyczepiałem do niego cztery akty. I dla tego wiele moich piątych aktów składa się z jednej tylko sceny, a te są właśnie najlepsze. Sposób tworzenia cały pochodzi z mojej głowy: i szkic sztuki i szczegóły wykończenia, budowały się same w moim mózgu! Zabierałem się do pisania, gdy dzieło było niejako skończone.

Aleksander postępuje całkiem inaczej. Szuka najpierw i wybiera typ, albo raczej jakiś typ spotyka go i opanowywa, Typ ten jest zawiązkiem sztuki. W „Damie Kameliowej“ nazywa się Małgorzatą Gautier; w „Dyanie de Lys“ — damą w perłach, w „Półświatku“ — Zuzanną d'Ange; w „Sprawie pieniężnej“ — Janem Giraudem; w „Synu naturalnym“ — Jakóbem Vignotem. I nie jest to wcale typ idealny; istniał lub istnieje w naturze.

Cztery ostatnie typy, wybrane przez Aleksandra, mogłyby były, a powiem nawet, mogą znajdować się na jego premierach i przejrzeć się jak w lustrze. Obok takiego typu moralnego lub niemoralnego, wytwornego lub płaskiego, grupuje on inne typy — drugorzędne, lecz równie żyjące i prawdziwe. Typy te pochodzą z koła zakreślonego cyrklem inteligencyi. Wszystko, co się znajduje w obrębie koła, łowi się, jak ryby w siatkę. Niektóre wyślizgują się przez oczka, ale to drobiazg.

Gdy Aleksander ma już typy, zaczyna od sceny najkomiczniejszej, lub najbardziej zajmującej — reszta się znajdzie. Ale tu zaczyna się praca. Praca to straszna, nieustanna, nieskończona, której poświęca dnie i noce, inteligencyę i zdrowie, nietylko swe życie duchowe, ale i materyalne. Podobny jest do gąsienicy, która przekształcając się w motyla, w stanie poczwarki zdradza cierpienia przemiany tylko przez drgania nerwowe. Dziesięć razy skończył i odetchnął — dziesięć razy spostrzega, że praca niekompletna, więc rozpoczyna na nowo. Przerabia całe akty, przestawia je. Wyrzuca osoby, które mu się zdawały niezbędnemi do akcyi; wprowadza nowe, które uważa za zbyteczne lub nie myślał o nich wcale. Gdyby dyrektor teatru nie wydzierał mu z rąk rękopisu, pracowałby ciągle nad tem samem. To łatwo zrozumiałe; nie budując od razu całości, zawsze może coś nowego znaleźć i dodać.

Widziałem dokoła jego biurka — dokoła, bo na biurku już miejsca nie było — siedem rękopisów tej samej komedyi, on zaś pisał ósmy. Do ostatniej chwili szuka: na generalnej próbie szuka jeszcze; przed podniesieniem kurtyny szuka, coby można dodać do pierwszego aktu; po pierwszym akcie — co dodać do drugiego itd. Gdy nareszcie kurtyna spadnie, gdy go wymieniają jako autora, gdy się uściskamy — pada na pół martwy. Siły go opuszczają, gdy już nie ma czego szukać.

Aleksander Dumas (ojciec).

*) Rzecz tę świeżo wydobył z listów prywatnych Dumasa (ojca) „Gaulois“.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ludwik Teichmann.

Ze śmiercią śp. Teichmanna zeszła jedna z najwięcej promieniejących gwiazd starej Jagiellońskiej Wszechnicy. Teichmann jako anatom zajął pierwszorzędne stanowisko nietylko w nauce polskiej, ale i europejskiej. Kiedy światowej sławy Hyrtel dowiedział się o powołaniu Teichmanna na katedrę uniwersytetu Jagiellońskiego, na jednym z wykładów powiedział do swoich uczniów: „Do Krakowa przychodzi anatom tak wielki, że ja nie jestem godzien rozwiązać rzemyka u nóg jego“.

Sp. Ludwik Teichmann urodził się w Lublinie d. 16 września 1823 z ojca Jakóba protestanta i matki Tekli z Olszewskich katoliczki. Stryj jego, pastor krakowski, a później superintendent w Warszawie, był serdecznym przyjacielem biskupa Woronicza. W czwartym roku życia stracił Teichmann ojca, a w dwa lata później matkę. Wziął go na wychowanie brat jego matki Krupski, leśniczy w dobrach Potockich pod Staszowem. Uczęszczał do gimnazyów: w Radomiu, Kielcach i w Warszawie, ale nie skończył całej nauki gimnazyalnej, gdyż zabrakło mu po śmierci wuja środków do kształcenia się. Przyjął więc obowiązki nauczyciela w szkole elementarnej w Warszawie, oddając wolne chwile pracy nad sobą. Mając lat dwadzieścia kilka znalazł się w Dorpacie, gdzie przez dwa lata uczęszczał na studya teologiczne. Czując jednak powołanie do nauk przyrodniczych, chciał opuścić Dorpat i udać się do Niemiec. Podał się przeto o paszport, ale nietylko, iż rząd rosyjski mu go nie udzielił, ale wezwał go do odbycia służby wojskowej. Ponieważ w zakresie jego marzeń nie leżała żołnierka rosyjska, przeto nie widział innego punktu wyjścia jak ucieczkę. Bez paszportu przeto, piechotą, brnąc po kolana w wodzie przy przejściu jakiejś rzeki, przebył granicę w roku 1851 i udał się do Heidelberga. Miał lat 28, kiedy się zapisał na wydział filozoficzny uniwersytetu heidelberskiego, wkrótce jednak przeniósł się na wydział lekarski. Drugi rok studyów medycznych spędził w Getyndze, gdzie otrzymał posadę asystenta przy zakładzie anatomii opisowej. Utrzymywał się przeważnie z wyrobu pięknych prepara-

tów, które zwracały powszechną na siebie uwagę. Już na trzecim roku medycyny imię jego stało się znane światu naukowemu przez rozprawę, w której dał wiadomość o odkryciu przez siebie nie znanych dotąd kryształów krwi, nazwanych przez niego „heminą“. Po otrzymaniu stopnia doktora medycyny z wyszczególnieniem, powołany został na prosektora do Monachium, a następnie do Getyngi. Tam go poznał wspomniany wyżej słynny anatom Hyrtel, a zdumiony jego pracami zawarł z nim ścisłą przyjaźń. W r. 1856 otrzymawszy stypendyum dla zwiedzenia znaczniejszych zakładów anatomicznych, udał się w podróż naukową, zwiedził Niemcy, Austryą, Anglią, Belgią Holandyą, Francyą, Danią, Szwecyą i Norwegią. Podczas pobytu w Wiedniu nagle zachorował, a wtedy przyjaźń z Hyrtlem stała mu się prawdziwie pomocną, gdyż słynny anatom wraz ze swoją żoną otoczył go najtroskliwszą opieką.

Powróciwszy z trzyletniej podróży naukowej otrzymał w Getyndze w r. 1859 *veniam legendi* jako prywatny docent anatomji i fizyologii. Na tem stanowisku otrzymał równocześnie dwie propozycye z uniwersytetu monachijskiego i krakowskiego do objęcia katedry. Lubo katedra w Monachium z natury rzeczy przedstawiała szersze widoki dla karyery, przeniósł nad nią katedrę krakowską przez przywiązanie do ziemi rodzinnej.

Po siedmiu latach profesury nadzwyczajnej, zamianowany został profesorem zwyczajnym anatomii opisowej (1868). Posiadał już wówczas medal zdobyty na wystawie paryskiej za przesłane preparaty anatomiczne. Jednocześnie uniwersytet kopenhagski nagrodził go za rozprawę „o przedostawaniu się obcych ciał przez błonę śluzową“ Dzieło jego *„Das Saugadersystem“* uzyskało uznanie całego świata naukowego.

Kiedy w r. 1871 nastąpiły pierwsze wybory na członków krakowskiej Akademii Umiejętności, Teichmann wyszedł z nich jednogłośnie, a wybrany na przewodniczącego wydziału matematyczno-przyrodniczego został powołany na wiceprezesa tej najpierwszej naszej instytucyi naukowej. Godność tę piastował przez lat blisko dwadzieścia, póki jej nie złożył dla osobistych powodów. „Najserdeczniejsi opowiadali i dziś jeszcze opowiadają jakoby obraził się z powodu, iż po ustąpieniu(a raczej zmuszeniu do ustąpienia) pierwszego długoletniego prezesa akademii dr. Józefa Majera, nie został powołany na jego miejsce, choć jako wiceprezes miał poniekąd do tego najświętsze prawo. Ale nie to było przyczyną zrezygnowania Teichmanna z godności wiceprezesa. Jego zasady polityczne i jego osobistość raziły podobno członków krakowskiego towarzystwa własnej admiracyi i z tego powodu od czasu do czasu starano się ukłuć Teichmanna. Skarżył się np. że kiedy śp. biskup Dunajewski został kardynałem i zwołano posiedzenie Akademii, na którem uchwalono złożyć gratulacyę nowemu kardynałowi, ani nie zaproszono go z umysłu na to posiedzenie, ani nie wybrano go na członka deputacyi. Również kiedy zwołano posiedzenie w celu obrad nad udziałem Akademii w pogrzebie Mickiewicza, pominięto Teichmanna zupełnie, bo ani nie został wezwany na posiedzenie, ani zaproszony do reprezentowania Akademii podczas uroczystości pogrzebowych. Ta relacya o powodach zrezygnowania z godnosci wiceprezesa Akademii pochodzi wprost z ust zmarłego. Uważał on się za dotkniętego w swych uczuciach. i za lekceważonego przez rządzące w murach Akademii stronnictwo. Dla tego też rodzina na pośmiertnych plakatach opuściła tytuł: „członek Akademii Umiejętności“.

W r. 1878 wybrany został Teichmann rektorem uniwersytetu, pełniąc poprzednio parokrotnie obowiązki dziekana.

Liczne Towarzystwa naukowe, krajowe i zagraniczne, powoływały go na swego członka. Od rządu austryackiego otrzymał ordery Franciszka Jozefa i korony żelaznej, oraz tytuł radzcy rządowego. Kiedy w r. 1883 podał jako emigrant prośbę do rządu rosyjskiego, aby mógł odwiedzać córkę zamężną, mieszkającą w Warszawie, otrzymał przychylną odpowiedź, zredagowaną w najprzychylniejszych wyrazach dla jego działalności naukowej.

Koledzy i uczniowie Teichmanna wraz ze światem lekarskim dwa razy w ciągu jego długoletniej działalności składali hołd jego zasługom i pracy: raz w r. 1886, gdy obchodził 25-tą rocznicę swej profesury, a drugi raz w roku zeszłym, kiedy stosownie do ustaw austryackich musiał opuścić swoją katedrę. Właściwie powinien ją już był opuścić w r. 1893, gdyż skończył lat 70, które to lata są ostatnim kresem służby dla profesorów uniwersytetów austryackich, ale na przedstawienie wydziału lekarskiego otrzymany został na katedrze jeszcze przez rok jeden na mocy osobnego rozporządzenia cesarskiego. Wtedy to, pragnąc pozostawić po sobie pamiątkę, wszystkie bardzo bogate zbiory z dziedziny anatomii opisowej, jakim żaden z gabinetów anatomicznych poszczycić się nie może, złożył w darze uniwersytetowi Jagiellońskiemu, lubo o nabycie tych zbiorów zgłaszały się zagraniczne uniwersytety i ofiarowywały właścicielowi znaczne wynagrodzenie. Kiedy go uroczyście żegnano w sali teatru anatomicznego odpowiadając serdecznie na liczne przemówienia zakończył rzecz swą słowami: „Do tych obowiązków naszych (profeserskich) należy posuwanie naprzód umiejętności, praca nad nią dzień i noc. Na tem polu ja panów nie żegnam. Skalpeli nie położyłem na stół, ani pióra nie złamałem. Jak długo siły pozwolą, pracować będę; od tych obowiązków żadna ustawa mnie nie uwolni! Wspólnie pracujmy na jednem polu; ja zbliżam się do końca, panowie rozpoczynacie pracę. Spieszcie się z tą pracą; ja długo nie mogę czekać. Im wcześniej znajdę sposobność spotkać się z panami w pracy na tej niwie, tem milej dla mnie będzie“.

I rzeczywiście „nie mógł długo czekać“, a to, iż umarł wkrótce po opuszczeniu swych obowiązków profesorskich, jest niepowetowaną stratą dla nauki, gdyż właśnie zabierał się do szczegółowego opisu swoich preparatów, przez co zyskałyby one podwójną wartość. Dopóki bowiem sam objaśniał je słuchaczom, dopóty nie potrzebowały one opisu, bez którego owoc jego pracy stanie się w znacznej części niedostępnym. Potrzebaby kogoś, coby poświęcił cały szereg lat, aby mógł taki opis przygotować, który dla Teichmanna, rzecz prosta, bardzo mało przedstawiałby trudu.

Prace swe z dziedziny anatomii ogłaszał Teichmann po niemiecku i po polsku, wydając je osobno, lub w rozprawach Akademii umiejętności. w „Gazecie lekarskiej“ i t. d. Przed dwoma laty ogłosił najświeższe swe prace „o naczyniach limfatycznych w słoniowaciźnie“.

Wykładana przez niego anatomia opisowa gromadziła nader liczne audytorium. Do ulubionych prelekcyi Teichmanna należały także wykłady o kości skalistej i o naczyniach limfatycznych. Tu był w dosłownem, najściślejszem znaczeniu wyrazu, panem swojego przedmiotu, naczynia limfatyczne bowiem on pierwszy dopiero obrobił i przez 40 lat z rzędu poświęcał się ich badaniu. Był to więc wykład taki, jakiego nie było w żadnym uniwersytecie, ztąd też gromadził nietylko słuchaczy anatomii, ale i medyków z lat wyższych, oraz doktorow medycyny czasowo przebywających w Krakowie dla uzupełnienia swych naukowych wiadomości.

Najlepszą charakterystykę Teichmanna jako człowieka i profesora podał przed dziesięciu laty śp. dr. Bolesław Lutostański, z okazyi jego jubileuszu profesorskiego w r. 1886. Oto godne powtórzenia ustępy z tej charakterystyki:

„Nie lubi on blichtru, owego naukowego szychu, lub nauki kończącej się na frazesach. Bywa szorstkim i dla tego nie cieszy się popularnością u ludzi, którzy nie lubią widzieć tajemnych dążeń umiejętności, naruszających błogi optymizm zadowolonych..... Przez siłę wyższej filozofii patrzący jasno na warunki życia ludzkiego, stara się on bez uprzedzenia poznać rzeczywistość, z czego wynika pewna surowość przekonań politycznych. Lecz gorąco miłuje Teichmann społeczeństwo polskie, często ślepe, lecz częściej jeszcze bałamucone przez swoich wodzów. Sprzyja on przedewszystkiem jego dążeniom ku dobru, prawdzie i postępowi, lecz nie naigrawa się z jego iluzyi i nie szydzi z jego skarg i bólów. Jako najzacniejszy obywatel, spostrzegający przywary narodowe, zwłaszcza brak wytrwałej pracy, pozostał Teichmann niewzruszonym w swoich przekonaniach i nie zaprzedał ich za misę soczewicy...... Wreszcie powiedzieć o nim można, że posiada pełen swobody i powagi nastrój, jest tkliwy jak dziecko, serdeczny jak kobieta, nieczuły jak anatom. obcy przesądom jak filozof, a surowy jak żołnierz“.

Do tej charakterystyki dodać jeszcze można chyba tyle, że w stosunkach towarzyskich był Teichmann bardzo naturalny, — składał chętnie togę uczonego, aby pogawędzić o sprawach bieżących. Był przytem ogromnym zwolennikiem humoru tak w rozmowie jak i w literaturze, to też odwiedzający tego poważnego człowieka nauki ze zdziwieniem spotykali na jego biurku dziełka i pisma humorystyczne. I jeszcze jedno, a charakterystyczne, był zapalonym w swoim czasie myśliwym.

Teichmann umarł d. 25 listopada po dość długiej, a skomplikowanej chorobie. Na łożu śmierci objawił życzenie, aby nie było mów na jego pogrzebie ze strony instytucyj naukowych, ztąd nad grobem jego przemawiał tylko pastor Michejda, przybyły umyślnie ze Szląska, który w swojej mowie zaznaczył między innemi istnienie uczuć patryotycznych wśród polaków-ewangelików na Szląsku. Rodzina Teichmanna otrzymała liczne dowody współczucia nietylko z kraju od osób prywatnych i od naukowych instytucyj, ale z zagranicy, zwłaszcza od wybitnych uczonych niemieckich.

K. Bartoszewicz.

Z estrady i sceny.

(Hania. Obraz dramatyczny w 5 odsłonach p. Mikulskiego. Według powieści H. Sienkiewicza).

Niejednokrotnie już składała dyrekcya teatru poznańskiego wyraźne dowody, że nad kolebką jej nie śpiewały muzy. Być może, że sprytny Merkury niańczył to dziecię, które kiedyś objąć miało ster teatru naszego, ale z Parnassu nikt nie upoił pieśnią cudowną dyrektorskiego niemowlęcia.

Przy sposobności opowiem czytelnikom moim kilka rozkosznych zakulisowych anegdot o krytycyzmie i artyzmie dyrekcyi obecnej, — dziś prezentuję próbkę najświeższej daty, której imie „Hania“,

Rozumiem, że wielkorządzca teatralny nie może jedynie wyborowych utworów wprowadzać na deski, – rozumiem, że obok prawdziwych klejnotów, nieraz simili-brylan-

ty i szkło czeskie błyszczeć muszą w repertuarze scenicznym, lecz tak jak na wystawę obrazów żaden kochający sztukę kierownik nie przyjmie kwartanerskich rysunków lub pensyonarskich malowideł na drzewie, tak i na scenę wprowadzać nie należy utworów pozbawionych niętylko iskierki talentu, ale nawet znajomości elementarnych prawideł techniki. W kraju jednak, gdzie o fatalnie kolorowanych kopiach początkujących dyletantów-malarzy zamieszcza prasa panegiryczne dusery, tam i scena staje się bezkarnie przytułkiem wołającej o pomstę do nieba tandety. A społeczeństwo patrzy już od lat 13 na tę gospodarkę, obniżającą z roku na rok poziom artystyczny teatru naszego, i — milczy. Gdzieś na poufnych posiedzeniach, czy to w kawiarniach, czy w prywatnych domach, ludzie nieraz wzdrygają ramionami i uśmiechają się złośliwie, lecz publicznie nikt nie podniesie protestu i toleruje spokojnie dramatyczne lepianki rodzimych i nierodzimych grafomanów.

Wiedząc z oficyalnych i prywatnych komunikatów dyrekcyi, jak czule ukochała nie tyle teatr ile ster teatralny, i słysząc przed kilku zaledwie tygodniami, w u oczystej chwili jubileuszowej, płaczliwe jej skargi na niewdzięczność ludzką, „która usunąć pragnie starego kierownika“, nie mam serca powtarzać mojego „C e t e r u m c e n s e o“, że jaknajprędsza zmiana dyrekcyi jest nieodzownym postulatem dobra publicznego. Chcąc jednak w części przynajmniej zapobiedz artystycznej a poniekąd i materyalnej ruinie teatru, przedkładam niniejszem radzie nadzorczej projekt ustanowienia na wzór krakowski, obok dyrekcyi, k o m i s y i a r t y s t y c z n e j, któraby czuwała nad rządami p. Dobrowolskiego. Nie przeceniam bynajmniej wpływów takiej kontroli, ale w chwilowych warunkach widzę w niej jedyny środek zapobiegania wybrykom i dziwolągom dyrekcyjnym. Nie dokona ona może radykalnej reformy, ale oszczędzi nam zapewne widoku takich karykatur, jak Sienkiewiczowska Hania w przeróbce p. Mikulskiego.

Czytelnicy nasi słyszą zapewne po raz pierwszy nazwisko tego autora. Dla informacyi więc uprzedzam, że i ja w szrankach literackich nie spotkałem nigdy p. Mikulskiego, — wiem jednak że przerabiacz Hani był trzeciorzędnym aktorem na warszawskiej scenie, a obecnie jest szczęśliwym właścicielem składu węgli w stolicy Królestwa Polskiego. B e a t i p o s s i d e n t e s! Nie moją rzeczą wydawać opinię o kupieckich zdolnościach autora, uszczęśliwiającego scenę poznańską, ale zdaje mi się, że gdyby w „przemyśle węglowym“ pracował z równą znajomością jak w sztuce dramatycznej, to upiór bankructwa siadłby niebawem na stosach jego „czarnych dyamentów“. Sienkiewicz na scenie! Ubolewaliśmy już nad teatralną parodyą takiego „Ogniem i Mieczem“ lub „Pana Wołodyjowskiego“ — ale obie te słabiutkie przeróbki są prawdziwemi arcydziełami wobec „Hani“ p. Mikulskiego. W tamtych przebijała przynajmniej gdzieniegdzie znajomość sceny i faktury, — tu ludzie błąkają się jak duchy po deskach, wchodzą, wychodzą, siadają, — po co i na co? któż to odgadnie? Jest to jakieś bezustanne suwanie, przypominające widowiska w wiedeńskim lub berlińskim „Parodietheater“. Ktoś staje się niepotrzebnym na scenie, — co począć? p. Mikulski nie jest w ambarasie. Bohater jego powiada: „Chce mi się jeść“ i znika. Dla przerabiacza Hani prawdopodobieństwo sytuacyi jest zupełnie zbytecznym postulatem. Akt III. n. p. zawiera połączenie sceny rozgrywającej się w Warszawie, w studenckiej izdebce, z ślicznym epizodem nowelki, gdy Selim, powróciwszy na wieś przesadza konno bramę ogrodową i tym brawurowym popisem zdobywa serduszko Hani.

To przyczepienie dwóch oddalonych momentów powieści, to zlutowanie dwóch terenów akcyi odbywa się na scenie kosztem prawdziwych dziwolągów sytuacyjnych. Posłuchajmy: Selim i Wiktor przywożą z sobą na wakacye pesymistę Adama. Nikt nie wychodzi na powitanie, choć dom cały oczekiwał z upragnieniem młodzieży. Więc panowie studenci zasiadają za stołem i upijają się wódką, powtarzając źle dobrane wyjątki z Sienkiewiczowskiego dyalogu. Nagle oświadcza Adam, że musi iść przywitać „starych“ i znika, a Selim kłania się również publiczności i oświadcza, że jedzie do rodziców. Zostaje sam Wiktor, któremu wcale nie spieszno do ojca, i niebawem wpada Hania wraz z całem towarzystwem wiejskiem. Uściski, okrzyki, spóźniona scena powitania. Wtem dzieje się awantura. Selim w ciągu 5 minut odbył podróż milową do rodziców, zdążył już wrócić na wspaniałym bachmacie i skacze przez bramę. No i t. d. W ten sposób prowadzi właściciel składu „węgli“ swój utwór od początku, do końca. Nie może sobie dać rady z materyałem, więc kraje, sztukuje, obcina, kurczy, — jednem słowem wspaniałą sienkiewiczowską poezyę zamienia w jakąś skandaliczną zbieraninę szczegółów nowelistycznych, bez związku, motywów i prawdy. Przy takiej operacyi oczywiście zatraciły swój charakter główne osoby dramatu. Selim np. w pierwszych trzech aktach jest zwyczajnym błaznem, — bohaterski urok tego Tatarzyna, — jego legendowe oblicze, — wszystko to utonęło w węglach p. Mikulskiego a został tylko błaznujący fircyk. Nie dziw więc, że p. *Wostrowski* w tej roli, zamiast „księcia z bajki“, stworzył wodewilowego amanta, — żal mi jednak, że nie przestudyował Sienkiewiczowskiego pierwowzoru i nie starał się w tym wyjątkowym wypadku *poprawić* przerabiacza.

Jedyna postać sobotniej premiery, reprodukowana względnie poprawnie według orginału, to Wiktor, a rola ta w znakomitej interpretacyi p. Grabowieckiego odznaczała się prawdą, życiem i plastyką. Gra młodego artysty była jedynym momentem sobotniego wieczoru składającym ręce do oklasków, — jedyną oazą w tej pustyni scenicznych trywialności i nonsensów. To też kończąc recenzyę moją w formie admonicyi — stosownie do przepisów starej, retorycznej „chryi“! — ośmielam się zawołać: Panie Mikulski! zostań przy węglach! — Panie dyrektorze! zlituj się nad teatrem.

W. R.

Na Wyłomie.

(O b r a z c e s a r s k i)

W illustrowanych czasopismach i oknach wystawnych rozmaitych księgarzy i obrazkowiczów pojawiły się drzeworyty i fotografury, zaopatrzone nazwiskiem Wilhelma II. Artysta, któremu przysługuje tytuł „Najjaśniejszego“, zgromadził po lewej stronie obrazu allegoryczne postacie kobiece, wyobrażające ludy Europy pod wodzą archanioła Michała z mieczem ognistym w ręku, — po drugiej stronie ze skrzyżowanemi nogami zasiadł Buddha indyjski, straszny i groźny w swym głuchym spokoju. Wojowniczy archanioł wskazuje na azyatyckiego potwora energicznym giestem, a zaciekawionej publiczności opowiada marginesowy napis, że ten wódz niebieskiego wojska woła wielkim głosem: „Völker Europas wahrt eure heiligsten Güter“ — „Ludy Europy brońcie waszych najświętszych skarbów“. By zaś nikt nie wątpił, jakie ideały przyświecają ukoronowanemu artyście, Wilhelm II wysłał podobno pod adresem cara rosyjskiego wraz z obrazem komentarz, że najświętsze skarby to *„narodowość i religia“*.

Ludzie patrzą, dziwią się i kręcą głowami. Czy cesarz niemiecki lęka się zaboru Europy przez Chiny i Japonią, lub najścia Buddhyzmu na ludy chrześcijańskie? Czyżby uwierzył prorokom społecznym, którzy raz po raz wchodzą na trybunę i zwiastują głosem Kassandry, że Europa do Chin należy? Czyżby przeraziły go sekty Buddhystów, zrodzone na paryzkim bruku, a liczące już podobno wyznawców swoich na tysiące i dziesiątki tysięcy? Może... może, — ale to muzyka przyszłości. Mnie się wydaje, że w tym obrazie przesłanym *carowi rosyjskiemu* z okrzykiem: „Ludy Europy brońcie narodowości i religii“ leży jakaś straszna ironia i brzmi jakaś skarga okrutna: „Narody Europy nie bądźcie M o n g o ł a m i! Nie mordujcie w Krożach ludu polskiego za to, że broni k o ś c i o ł ó w swoich! Nie rzucajcie w paszczę cytadeli młodzieży polskiej za to, że kocha narodowość swoją! Nie wieszajcie na szubienicach i nie zamrażajcie w sybirskich lodach tych, których jedyną winą jest miłość ojczyzny.“ O! tak, w szlachetnem słowie Wilhelma II dźwięczy ten wyrzut i bolesna skarga! Ludy Europy nie bądźcie Mongołami, a ty biedny, rozdarty i wydziedziczony narodzie polski spełniasz tylko swój obowiązek, jeżeli uważasz to, co ci wydrzeć usiłują: — „n a r o d o w o ś ć i r e l i g i e“, — za najświętsze skarby, i tych ukochanych klejnotów bronisz z bohaterstwem. Do ciebie mówi cesarz niemiecki, że dobrze czynisz. Do ciebie mówi cesarz niemiecki, że gdybyś nie bronił Polski i wiary swojej, to skarbnica ideałów twoich byłaby próżną skrzynią lub rupieciarnią tylko i składem tandety. Chciałbym to słowo rozśpiewać wszędzie, chciałbym je przedewszystkiem krzyknąć nad uchem tych, którzy wydzierają „najświętsze skarby“, i tych, którzy je bronią. A tacy nie mieszkają jedynie pod berłem rosyjskiego cara. Rozejrzyj się tylko narodzie niemiecki po własnych ziemiach swoich, — panowie ministrowie i ty sejmie pruski — panowie H. K. T. i ty rzeszo krzyżacka, która im stopy całujesz, — stańcie do spowiedzi i mówcie: Czy szlachetne słowo Wilhelma II nie jest dla was dymem? Czy czyny wasze nie urągają cesarskim ideałom? Bo słowo monarchy nie znaczy tylko „Brońcie narodowości i religii waszej“, lecz z żelazną konsekwencyą oznaczać musi: „Nie wydzierajcie jej innym“. Ta Azya, której cesarz się lęka, wyobraża cywilizowane barbarzyństwo Europy, które w łagodniejszych formach, lecz z większą rafineryą i logiką zabiera ludom wolność, narodowość i wiarę. A może w tych słowach cesarskich tkwi jakieś ciche *votum separatum* w posępnym chórze ciał obradujących — chórze rozbrzmiewającym pieśnią „Ausrotten“. Może to znaczy: „Nie mogę na polityce moich ministrów i sejmów wycisnąć piętna humanitarnego, więc w allegoryi spowiadam się z ukochanych, lecz w praktyce spętanych niestety przekonań“. *Chi lo sa!* Widzę, jak rozpromieniły się oblicza naszych marzycieli politycznych, którzy już dawno na kontraście sejmu, ministrów i narodu z jednej strony, a cesarza z drugiej opierali swoje „wielkanocne fantazye“. Wierzyli oni w tę walkę Wilhelma z otoczeniem i ufali, że zwycięzcą wyjdzie z niej monarcha. Biedni poeci! Zawieszą obraz na ścianie, uklękną przed nim i śnić będą rozkosznie. Obraz jednak zostanie obrazem, a polityka pójdzie swoim torem.

Czy odgadłem dokładnie treść cesarskiej

allegoryi — tego przysięgą stwierdzićbym nie mógł, lecz coś mi się marzy, że takie wyjaśnienie może być — proszę tylko nie kręcić głowami — prawdopodobniejszem, niż rzekomy strach Wilhelma II przed Chinami i sektą Buddhystów. Umysł młodego monarchy zbyt jest trzeźwym i zbyt pochłoniętym palącemi kwestyami chwili obecnej, aby pieścić się fantazyami Chino- i Buddhofobów. Jednego tylko pojąć nie mogę, dla czego właśnie Buddha, najpotężniejszy duch starożytności (a nie ulega kwestyi, że figura na obrazie odpowiada starym wizerunkom indyjskiego mędrca) — zepchnięty tu został do symbolu azyatyckiego barbaryzmu. Tego szkopułu jednak nie usuwają również inne tłomaczenia cesarskiej allegoryi.

Mówią, że ten azyatycki Buddha, który przykucnął w kącie obrazu i drapieżnem okiem spogląda na ludy Europy, jest symbolem społecznego przewrotu, który w formie socyalizmu i anarchii zbliża się ku nam. Mówią, że cesarz, który już nieraz rzucał rękawicę czerwonym prądom, upomina obrazem swoim ludy Europy, by wspólnemi siłami broniły religii i narodowości przed demonem kosmopolitycznego i bezwyznaniowego socyalizmu.

Ze względu na dotychczasową działalność młodego monarchy tłomaczenie takie miałoby pewne cechy prawdopodobieństwa, gdyby można — znowu ta zagadka! — skonstruować jakieś tertium comparationis między azyatyckim Buddhą a europejskim socyalizmem! Buddha i socyalizm! naprożno myśl wytężam i szukam łącznika. W dziełach tego wielkiego filozofa, etyka i prawodawcy nie znalazłem nigdzie idei przewrotu w pojęciu prądów dzisiejszych i żałowałbym szczerze, gdyby ten potężny mędrzec indyjski, ten głęboki Sakjamuni miał się zamienić na obrazie cesarskim w potwora, grożącego zagładą ludom Europy. Ileż to razy w księgach wielkiego Buddhy szukałem świateł mądrości i zachwycony ich blaskiem pragnąłem skąpać w nich świat cały. Posłuchajcie!

Otwieram tom X. świętych ksiąg w przekładzie Müllera i czytam:

Wiersz 133.

Nie przemawiaj do nikogo surowo.

Wiersz 187.

W śród tych, którzy nas nienawidzą, działać będziemy bez nienawiści.

Wiersz 270.

Ponieważ miłosiernym jest dla każdej żywej istoty, więc świętym zowie się człowiek.

Wiersz 327.

Pilnuj myśli swoich.

Wiersz 361.

Dobrze jest panować zawsze nad samym sobą.

Tak mówi Buddha.

Więc wierzyć nie mogę, by właśnie wielki filozof otrzymał w obrazie cesarza stempel demona przewrotu i służył jako symbol zagłady. Przeciwnie — lubo do sekty Buddhystów nie należę, — mniemać się ośmielam, że Wilhelm II ukochał gorąco prawdy mędrca indyjskiego i pragnie usilnie, by cała ludzkość niemi się przejęła.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* **„Bitwa pod Raszynem“** p. W. Przyborowskiego — powieść historyczna dla młodzieży. Wydanie drugie.

Pamiętam z jakiem zajęciem odczytywałem, będąc chłopięciem, przygody bohaterskiego Janka, ujęte w zajmującą historyę, a opowiedziane stylem lubo prostym i przystępnym dla młodocianych czytelników, przecież pięknym i potoczystym. — I dziś z przyjemnością przejrzałem nowe wydanie opowiastki z owych czasów, gdy ostatnim laurem konającej ojczyznie skroń wieńczyli nasi bohaterowie. — Wspomnienia te zawsze urok swój mają, a podane w formie bajeczki rozczulić muszą serduszka małych czytelników. Z niepokojem śledzą oni ucieczkę Jasia z lochów, do których zamknęli go Austryacy, lub podróż jego na kucyku, gdy pędzi nocą do ks. Józefa Poniatowskiego, by ostrzedz wodza przed grożącem mu napadem. I radością uderza serduszko dziecinne, gdy pieszo — bo kucyk padł mu w drodze — mały bohater dopada kwatery księcia i w krytycznej chwili ratuje go przed wrogiem. Potem znów niepokój przejmuje czytelników, gdy powtórnie schwytany przez Austryaków i przypadkiem tylko od stryczka ocalony, — błąka się Janek po lesie i wpada w ręce cyganów, zamierzających go wydać jenerałowi, dowodzącemu wojskami austryackiemi, w nadziei znacznej nagrody. Lecz dzielny chłopiec ucieka w towarzystwie młodego cygana, po drodze chwytają konie ułańskie i uzbrajają się bronią poległych w utarczce żołnierzy, — a ścigani przez bandę wpadają w sam wir walki. W tej chwili los owej słynnej wygranej pod Raszynem miała rozstrzygnąć szarża kawaleryi. — Zabrzmiała trąbka i koń unosi Janka w szeregi walczących — ogarnia go zapał, dobywa szabelki i uderza odważnie na nieprzyjaciela, — zabija swego prześladowcę rotmistrza von Lampe i bierze do niewoli Franca.... W nagrodę tych czynów ks. Poniatowski obdarza go orderem i podnosi do zaszczytu dziecka pułku. Dla zajmującej treści i pięknej formy polecamy uwadze czytelników naszych nowe wydanie „Bitwy pod Raszynem“, ozdobione rycinami J. Pankiewicza.

G.

* * *

* **„Jenerała Jakuba Lewińskiego pamiętniki z 1831 roku“**, — wydane staraniem poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, przez Karola Kozłowskiego. Poznań 1895. —

„Nie rewolucyę opisywać, ale w prawdziwem świetle wystawić chcę udział, jaki sam w niej brałem, a w szczególności odeprzeć zarzuty w rozmaitych poczynione mi pismach“ — Oto cel pamiętników Jenerała, określony jego własnemi słowami.

Autor poprzedza opowieść wypadków 31 roku krótką autobiografią — następnie poświęca dzieło jedynie tym zdarzeniom, w których czynny brał udział. Może najcenniejszemi są dodane przez autora po napisaniu właściwych pamiętników dokumenty i uwagi, rzucające nowe światło na niektóre poszczególne wypadki, nie pozbawione ciekawych, a zkądinąd nieznanych szczegółów. Przecież zbyt subjektywne zabarwienie w celu obrony własnej, pozbawia książkę poniekąd doniośłejszej wartości historycznej, a język tu i owdzie chropowaty obniża jej wartość artystyczną.

* * *

* **Skarbczyk polski**, ułożony przez M. Ilnicką i Fr. Rawitę, wydany nakładem K. Kozłowskiego w Poznaniu 1895.

Jest to popularny wykład historyi polskiej, począwszy od dziejów bajecznych, kończąc na krótkim zarysie czasów porozbiorowych. Dziełko upiększone ulotnemi wierszykami M. Ilnickiej jest zupełnie przystępnem dla młodszej nawet dziatwy i odznacza się barwnem i żywem opowiadaniem. Wydanie zaleca się nadto licznemi i pięknemi illustracyami.

* * *

* **Swiatła i Kwiaty.** Myśli zebrane z utworów H. Sienkiewicza p. Mariusa. Nakładem K. Kozłowskiego. Poznań 1896.

Pod powyższym tytułem ukaże się niebawem książka, zawierająca celniejsze myśli z utworów autora „Bez dogmatu“, ugrupowane metodą rzeczową w sześciu obszernych rozdziałach. Dzieło to w kilkunastu arkuszach druku obejmie poglądy Sienkiewicza na miłość, małżeństwo, prasę, etykę, religią, sztukę i t. p., a ze względu na treść zajmującą i ozdobność wydania, zaleca się znakomicie jako podarek gwiazdkowy. Cena wydawnictwa na welinowym papierze, w gustownej oprawie, wraz z portretem H. Sienkiewicza wynosi 4 M.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Posłowie socyalistyczni stawili w parlamencie niemieckim nagły wniosek, domagający się zniesienia postępowania karnego przeciw posłowi Liebknechtowi, oskarżonemu o obrazę majestatu. — Według urzędowego spisu tak się przedstawia liczbowa siła stronnictw w parlamencie niemieckim: centrum 98, konserwatyści 60, Polacy 19, partya cesarska 28, narodowo-liberalni 49, stronnictwo reformy socyalnej 14, wolnomyślne stronnictwo ludowe 24, wolnomyślne zjednoczenie 13, stronnictwo ludowe 12, socyalno-demokraci 47, dzicy 26. — Wojna Włochów z Abisyńczykami wre w dalszym ciągu z podwójną energią. Crispi zażądał kredytu dla Afryki w wysokości 10 milionów lirów. — Nowy pruski minister spraw wewnętrznych pan von der Reke jest dotychczas dla prasy niemieckiej zagadką. Około osoby jego wszczęła się polemika zacięta, z której jedno tylko wynika bezsprzecznie, że następca ministra Köllera posiada bogaty zasób erudycyi na polu społeczno-politycznem i ekonomicznem. — Bismarckowskie organy prorokują ustąpienie kanclerza rzeszy p. Hohenlohego. — Liczba skazanych w Niemczech za przestępstwa kryminalne wzrosła w ostatnim roku z 430,000 na 446,000, a więc o 16,000. — Stronnictwo socyalistyczne w Niemczech urządza w najrozmaitszych częściach kraju zebrania protestujące przeciw wiadomemu rozporządzeniu ministra Köllera. — Z wynurzeń półoficyalnych organów wynika, że między niemieckim ministrem finansów Miquelem, a kanclerzem rzeszy Hohenlohem istnieją poważne różnice poglądów i wzajemny antagonizm.

Teatr i muzyka. W czwartek odegrano w teatrze poznańskim na rzecz kasy wkładkowo-pożyczkowej artystów zręczną komedyę Nagody p. t. „Uroki“, jedną scenę z tragedyi Słowackiego „Marya Stuart“ (zamordowanie Riccia) i wesołą komedyę Przybylskiego p. t. „Dzień w redakcyi“. Przedstawienie odznaczało się starannością wystawy i poprawną grą występujących artystów. Dokładniejsze sprawozdanie odkładamy do przyszłego numeru. Na lwowskiej scenie odegrano z powodzeniem czteroaktowy dramat Zielińskiego p. t. „Mira“. — Tragedya Ryszarda Vossa p. t. „Nowe czasy“ upadła w Berlinie. — W Monachium podobała się nowa opera Ryszarda Straussa p. t. „Guntram“. — Wielkie oratoryum Cezarego Francka p. t. „Les béatitudes“ sprawiło silne wrażenie w Lipsku. — Utalentowana artystka p. Marya Paszkowska opuszcza scenę poznańską od 1 stycznia i wraca do teatru krakowskiego. — Nowości operowe: Reinholda Beckera „Chwalba kobiet“, Godarda „Markietanka“ i Klughardta „Gudrun“.

Odpowiedzi Redakcyi.

Alef. Nowelka p. t. „Zuzia“ nie jest pozbawioną literackich zalet. Nie kwalifikuje się jednak dla pisma naszego. Radzimy zapukać do redakcyi któregokolwiek z dzienników poznańskich.

L. 10. Nie mamy zaufania do Berlina. Odpowiedniejszem wydaje nam się Drezno, ale radzimy w ocenie talentu nie spuszczać się na zdanie różnych ciotek, wujenek i małomiejskich dyletantów.

Zmarli:

Ludwik Teichmann prof. Akademii Jagiellońskiej, były wiceprezes Akademii umiejętności. Poświęcał się wyłącznie anatomii i zyskał uznanie uczonego świata.

Władysław Kulczycki, um. w Rzymie. Był korespondentem kilku dzienników warszawskich.

Bibliografia.

Teodor Jeske - Choiński. Rozkład w życiu i literaturze Warszawa 1895.

Teodor Jeske - Choiński. Na schyłku wieku. Studyum. Warszawa 1895.

Karol Miarka. 1) Kulturnik. Obrazek z życia ludu górnoszląskiego. Mikołów 1895. 2) Podróż po Wszechświecie. Popularne rozprawy o księżycu, słońcu, planetach i gwiazdach. Mikołów 1895. 3) Górka Klemensowa. Powieść oparta na podaniach ludu górnoszląskiego. Mikołów 1895.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.